Nr. 13. Poznań, dnia 1 Kwietnia 1906 r. Rok X.

Abonament wynosi kwartalnie: na poczcie. . . 1,25 z odnoszeniem do domu . . 1,37 pod opaską . . 2,50

PRACA

Adres Redakcyi: Poznań, ul. Rycerska Nr. 38. Telefon Nr. 1465. Ogłoszenia: od wiersza drobnego 20 fen.

TYGODNIK POLITYCZNY I LITERACKI, ILLUSTROWANY.

Treść nr. 12-go.

Pierwszy przebłysk odrodzenia Polski z ludu.

Wielka człowieczeństwa Boskiego Matko i panno! Ja Jan Kazimierz, Twego Syna, króla królów i pana mojego i Twojem zmiłowaniem się król, do Twych Najświętszych stóp przychodząc, tę oto konfederacją czynię: Ciebie za patronkę moją i państwa mego królową dzisiaj obieram. Mnie królestwo moje polskie, Wielkie księstwo Litewskie, Ruskie, Pruskie, Mazowieckie, Żmudzkie, Inflandzkie i Czernihowskie, wojsko obojga narodów i pospólstwo wszystko, Twojej osobliwej opiece i obronie polecam; Twojej pomocy i miłosierdzia w teraźniejszym utrapieniu królestwa mego przeciwko nieprzyjaciołom pokornie żebrzę.

A że wielkiemi Twemi dobrodziestwy zniewolony, przymuszony jestem z narodem polskim do nowego i gorącego Tobie służenia obowiązku, obiecuję Tobie, mojem, ministrów, senatorów, szlachty, i pospólstwa imieniem, Synowi Twemu Jezusowi Chrystusowi, Zbawicielowi naszemu, cześć i chwałę przez wszystkie krainy królestwa polskiego rozszerzać, czynić wolę, że gdy za zlitowaniem Syna Twego otrzymam wiktorję nad Szwedem, będę się starał, aby rocznica w państwie mem odprawiała się solennie do skończenia świata, rozpamiętywaniem łaski boskiej i Twojej, Panno Przeczysta.

A że z wielkim żalem serca mego uznaję, dla jęczenia w opresji ubogiego pospólstwa oraczów, przez żołnierstwo uciemiężonego, od Boga mego sprawiedliwą karę przez siedem lat w królestwie mojem różnemi plagami trapiącą nad wszystkich ponoszę, obowięzuję się, iż po uczynionym pokoju starać się będę ze stanami Rzeczypospolitej usilnie, ażeby odtąd utrapione pospólstwo wolne było od wszelkiego okrucieństwa, w czem Matko miłosierdzia, królowa, Pani moja, jakoś mnie natchnęła do uczynienia tego wotum, abyś łaską miłosierdzia u Syna Twego uprosiła mi pomoc do wypełnienia tego, co obiecuje.

Oto dosłowne brzmienie ślubów króla *Jana Kazimierza,* złożonych za powrotem do kraju po wygnaniu przebytem na Śląsku, kiedy Szwed w r. 1655 opanował całą nieomal Polskę. Śluby te wykonane zostały w dniu 1-go kwietnia 1656 r. w kościele farnym we Lwowie przed obrazem N. Maryi Panny podczas mszy św. celebrowanej przez nuncyusza apostolskiego. Ślubów tych słuchały niezliczone masy ludu, dwór królewski, senat i duchowieństwo.

Minęło zatem lat ćwierćtysiąca od owej chwili.

I kiedy słowa te czytamy dziś, wydają one nam się wobec uzyskanych przez ludy od owych czasów praw — skromną nad wyraz obietnicą: król chce pospólstwo uwolnić od — „okrucieństw wszelkich,“ na jakie narażone było podówczas.

A jakie mu chce nadać prawa? O tem śluby milczą. Mówi jednak o nich *konfederacya Tyszowiecka,* zawarta 29 grudnia 1655 r. Powiada ona, że

wszystkim, niższego stanu i kondycyi ludziom nawet cudzoziemcom, dobrze ojczyźnie się zasługującym, nie tylko otworzymy pole, lecz jeszcze dać okazyę i przystęp do prerogatyw szlacheckich jednogłośnie przyrzekamy, każdemu, ktokolwiek, podług możności i sił swoich, węzłem się naszym połączy, na usługi Rzeczypospolitej się poświęci i pomagać ojczyźnie będzie.

Było to istotnie na owe czasy wielkie ustępstwo. Szlachta, ta polska szlachta, dumna ze swego szlachectwa — otwiera przystęp do swego grona temu, kto *Ojczyźnie przysłuży się.*

Zaiste, musiało być niebezpieczeństwo, w jakiem kraj się znajdował, ogromne, bodaj bliskim już wówczas kraj był utraty — niepodległości, kiedy — w dobrej woli — szlachta tak wielkie „prerogatywy przyrzekła ludziom niższego stanu i kondycyi.“

Istotnie niebezpieczeństwo było ogromne. Polska nie odetchnęła jeszcze po ostatniej wojnie kozackiej, która pozbawiła ją ogromnych obszarów ziem Podola i Ukrainy, w której postradała setki tysięcy butnego ludu kozackiego — ale w której straciła także w wielu klęskach kwiat rycerstwa, mnogo mienia i krwi.

W takiej chwili sprowadza na Polskę najazd Szweda Hieronim Radziejowski. Łączy się ze Szwedem hetman litewski Janusz Radziwiłł, — zdradą wpada w ręcę Szweda Litwa, zdradą Korona, zdradą cała Rzeczpospolita Polska. A na granicy wschodniej czyha Moskal......

Naród cały ogromem tego niebezpieczeństwa się przeraził, a kiedy król

po zdobyciu Warszawy przez Szwedów opuścił kraj, popłoch nie znał granic, przerażenie przeszło w rozpacz.

W takiej to strasznej chwili broniła Szwedom przystępu w głąb kraju garstka wojska — i pospólstwo, t. j. chłopi, ukrywający się w lasach, a donoszący wojskom polskim o pochodach nieprzyjaciół.

A czynili to chłopi z własnej dobrej woli, przez nikogo do tego nie przymuszani, nawet do obrony tej nie powoływani, a czynili pomimo tego, że kraj ten, który w ciężkiej opresyi potrzebował ich pomocy, nie matką im był — lecz macochą.

I otóż uchwała konfederacyi tyszowieckiej, a później śluby króla Jana Kazimierza miały być niejako zachętą ale i nagrodą za okazane do kraju tego przywiązanie i niesioną mu pomoc.

Spytajmy się teraz: jakie znaczenie mają owe *śluby Jana Kazimierza* w historyi wszechświatowej?

Przedewszystkiem musimy tutaj wysunąć naprzód fakt, że ci sami zdrajcy, którzy na kraj sprowadzili wroga, po wypędzeniu Szweda przeszkodzili królowi w dotrzymaniu zaprzysiężonych uroczyście ślubów.

Nie stały się więc obietnice ślubowane istotnem ludu naszego prawem. Pomimo tego sam fakt, że one istniały, że oznaczały rzetelne chęci króla i najlepszej części szlachty — sam ten fakt ma ogromne znaczenie w dziejach naszych, stawia Polskę na pierwszem miejscu wśród narodów, które o ulgach dla szerokich warstw ludu w ogóle *pomyślały.*

A były to czasy, w których chłopi wszystkich krajów europejskich jęczeli w *poddaństwie.* Było tak i w Polsce, która niestety i w tym względzie wzorowała się na — *cywilizacyi zachodu!*

Były to jednakże zarazem czasy, w których na zachodzie absolutyzm królów zaczął brać górę nad stanami, w których nie myślano nawet o ulgach dla wzgardzonej warstwy — pospólstwa-oraczy.

Polska tu była pierwszą.

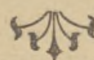
Dla nas dziś śluby Jana Kazimierza mają jeszcze jedno znaczenie. Niema przecież obecnie głośniejszego i więcej przekonywającego mniemania wśród całego naszego narodu nad to, że: Polska odrodzi się z ludu, że przyszłość Polski spoczywa w twardych i pracowitych dłoniach tego ludu.

Otóż pierwszy przebłysk tego mniemania, nazwijmy je lepiej *wiarą* — sięga ćwierć tysiąca lat wstecz do ślubów Jana Kazimierza, do konfederacyi tyszowieckiej. Możemy zatem śluby te uważać jako pierwszy wyraz — odrodzenia Polski z ludu.

Jeszcze jedna z okazyi tej rocznicy nasuwa nam się pod pióro myśl. Starały się od dawna rządy zaborcze wmawiać w lud polski, że historya Polski, to zbiór największych błędów, bodaj występków rządzącej wówczas części narodu — króla i stanów. Otóż że tak nie jest, dowodzi opisany przez nas fakt z dziejów Polski.

W jakiej myśli starają się jednak wrogowie zohydzać przeszłość naszą? — Czynią to, by uśpić własne sumienie, które wyrzuca im zbrodnię rozbioru Polski, ale czynią to zarazem i dla tego, by pozbawić lud nasz uroku, że Polska ma za sobą wielką i piękną przeszłość, i że ta Polska ma do spełnienia w przyszłości wielkie posłannictwo, posłannictwo zwycięstwa prawa i sprawiedliwości nad — przemocą, której sama uległa.

Kiedyż jednak to zwycięstwo nastąpi?......



Czytelnie ludowe i Pomoc naukowa.

Od szeregu lat odbywają się zebrania dwóch instytucyi naszych tego samego dnia. Od zwyczaju tego nie odstąpiono i tym razem. I tak odbyło się zebranie, walne, doroczne *Towarzystwa Czytelni Ludowych*, oraz *Towarzystwa Pomocy Naukowej Imienia Karola Marcinkowskiego* u nas w grodzie Przemysława w czwartek, dn. 22-go marca b. r.

Naród Polski
pod obcem panowaniem.

Opowiedział
Julian Baczyński.

WSTĘP.

Minęło sto dziesięć lat, jak wymazanym został z karty świata naród polski w pełni żywota, naród użyteczny ludzkości całej, naród posiadający błędy, błędy instytucyi, z których właśnie się otrząsał. Nikt wtedy nie ujął się za Polską i nikt nie ujmie się za nią; dziś też na nikogo oglądać się nie możemy i w jak najtroskliwszej pracy nad wewnętrznem odrodzeniem się naszem, nad lepszą w przyszłości dolą naszą, tylko na siebie samych liczyć musimy.

Wymazanym został z karty świata polski naród, lecz nie zginął i nie zginie, bo na błędach przeszłości zahartowany i wiekową przeszło pracą doświadczony silniejszym jest, niż był, u podstaw swoich.

„Upadek Rzeczypospolitej spowodowała własna nasza kilkuwiekowa wina, ciążąca dotąd na całem naszem pokoleniu, wina tem większa, im większe było koło obywateli uprawnionych do rządu. Nemezis historyczna spada gdzieindziej na królów i władców, u nas całą wagą ciąży na narodzie. Dźwigać więc nam się potrzeba z niesprawiedliwości, przewrotności i ciemnoty trzechwiekowych stosunków, dźwigać indywidualnie i społecznie z moralnego rozbicia, pomnożonego stokroć rozbiciem politycznem, a ułatwiać wśród tysiąca przeszkód zrównanie społeczne.

Sumienne obrachowanie się z losami porozbiorowemi da nam prawdziwe wyobrażenie o warunkach i trudnościach dzieła odrodzenia, o odpowiedzialności, jaką biorą na siebie podnoszący sztandar czynu, o wartości pracy codziennej i nieustannej, która, pieczołowitością około wiary ojczystej, oświaty, społecznej zgody i materyalnego bytu, utrzymuje i krzewi narodowość. Wagi sprawiedliwości historycznej spoczywają w ręku Boga, który odważył grzechy nasze, a wśród kary nie zapomniał, że mamy dziejowe zasługi, że dotrwaliśmy dotąd na stanowisku, które nam przeznaczył, że winy nasze nie są usprawiedliwieniem tych, którzy byli narzędziami Jego gniewnej ręki."

Józef Szujski.

I. Okres Napoleoński.
1795—1815.

1. Po dokonanym rozbiorze Polski.

Urzędowi i półurzędowi współcześni historycy rosyjscy i niemieccy wysilali się, aby usprawiedliwić zaborczą politykę swych rządów, które względem Polski spełniły akt gwałtu i przemocy, podeptały traktaty uroczyście poręczone, sponiewierały prawa boskie i ludzkie i podkopały wszelkie zasady sprawiedliwości i politycznej uczciwości. Historycy ci nie śmieli jednak spojrzeć w oczy rozgoryczonym mężom stanu Polski, ani znaleść odpowiedzi na tak uzasadnione pełne żalu ich zdania:

— Zaiste „sposób to zuchwały i niegodny mocarstw chrześciańskich i monarchów panujących z „Bożej łaski", pozbawić naród polski samoistnego bytu w chwili, gdy dźwigać się zaczął z długiego letargu, gdy ujmował już wybujałą anarchią w kluby należytego porządku, zwalczał

Obie te instytucye mają wspólną myśl przewodnią: *budzenia, krzewienia i podnoszenia poziomu oświaty w społeczeństwie naszem.* Rodzaj ich działalności jest tylko różny, *cel — jeden.*

Przyjrzyjmy się każdej z osobna.

„Towarzystwo Czytelni Ludowych" założone zostało dnia 11-go października 1880 roku niejako w odpowiedzi na ustawę językową, która w roku 1876 nabrała w Prusiech mocy obowięzującej. Ustawa ta usunęła język polski z urzędów i instytucyi publicznych, wykładów szkolnych itp.

„Zrozumiało społeczeństwo, że jest to zamach na najświętszy skarb jego i wystąpiło w jego obronie zakładając wspomniane Towarzystwo.

Patrzy więc „Towarzystwo Czytelni Ludowych" obecnie na przeszło 25 lat skromnej, nie rozgłośnej, ale niemniej dla społeczeństwa pożytecznej pracy. Pisze ono w piśmie swem, które pod tytułem *„Czytelnia Ludowa"* wychodzić będzie odtąd co kwartał, że rorzuciło między ludem około pół miliona książek i założyło przeszło 2 tysiące bibliotek.

Niestety brak funduszów tamuje rozszerzenie akcyi tej. Brak ten omawiano szeroko na ostatniem zebraniu i postanowiono użyć wszelkich sposobów, by mu zaradzić. Jak naglącą jest ta uchwała, wynika stąd, że dług Towarzystwa w księgarniach za ostatni rok wynosi — *mk. 9255,15!*

Jest to naszem zdaniem dług honorowy, który społeczeństwo jak najspiesznieј ma obowiązek zapłacić, nie chcąc się narazić na zarzut — niedostatecznego popierania wzniosłego celu, jaki wytknęło sobie Towarzystwo Czytelni Ludowych. , ,

, Ten obowiązek swój spełniło już grono uczestników walnego zebrania. Złożono bowiem na wniosek p. *Karola Rzepeckiego* pokaźną kwotę *mk. 550.* Oby społeczeństwo poszło za tym naśladowania godnym przykładem.

Towarzystwo Pomocy Naukowej, starsze od poprzedniego, zdaje się, jeżeli nie głębiej sięgać do potrzeb społeczeństwa, to jednak więcej liczyć dobrodziejów i ofiarodawców. To też zakończyło ono rok 1905 nie tylko bez długów, ale odesłało na rok bieżący do dyspozycyi pokaźną sumę mk. 19400.

Walne zebranie odbyło się ze zwykłą powagą, jaka zebrania Towarzystwa Pomocy Naukowej cechuje. Po zagajeniu objął przewodnictwo pan Adam Kościelski z Kościańskiego, przyjęto sprawozdania sekretarza, skarbnika, który może poszczycić się wiadomością, że tow. dobiega powoli do półtora miliona majątku.

A jednak suma ta wraz z składanemi dobrowolnie na ołtarzu oświaty datkami nie wystarcza na zaspokojenie potrzeb społeczeństwa. Oto nie można było udzielić pomocy w 99 przypadkach, z których 25 (!!) oddalono z powodu braku funduszy.

Zaznacza to sprawozdanie. Wobec tego jednak wręcz niezrozumiałą jest rzeczą, dla czego dyrekcya opierała się wnioskowi p. dr. *Szumskiego* z Mogilna, proszącego, by dyrekcya w obecnym roku zaprosiła do Poznania wszystkich prezesów komitetów powiatowych celem porozumienia się co do sposobów powiększenia funduszów Towarzystwa.

Po obecnych na walnem zebraniu członkach znać było, że oni szczerze pragnęliby, aby dyrekcya wniosek ten przyjęła. To też tem więcej zadziwia, że p. dr. Szumski zdecydował się wniosek ten *cofnąć* — nie zażądawszy poddania go pod głosowanie.

Stało się. Nie należy atoli pominąć milczeniem tego faktu, który nasuwa wiele ciekawych myśli. Zdaje się jakoby dyrekcya wystraszyła się jednego wielkiego słowa: *agitacya!* Tak o agitacyą, bodaj o wielkopolską, posądzić dyrekcyę gotów rząd i — może zamknąć Towarzystwo. Dla tej obawy pozostawia się 25 młodych, zdolnych, żądnych nauki i wiedzy młodzieńców bez pomocy ,może na to, by marnie zginęli.

Przykra to myśl. Nie może, lub obawia się *agitować* dyrekcya Tow. Pom. Nauk. Im. K. Marcinkowskiego

---

szkodliwe wpływy oligarchii, przeistaczał strupieszałe już instytucye republikańskie w nowoczesne urządzenia narodowe.

— Rozszarpać naród, który tak pracował nad sobą, który w tej pracy tak niespodziane i zadziwiające osiągał skutki, naród, wśród którego rozwiewały się już przestarzałe przesądy, a szerzyła się prawdziwa oświata, rozwijały się przemysł i rękodzieła?

— Naród żywotny i politycznie dojrzewający, który sam sobie nadal tak doskonałą ustawę 3 maja 1791 r.?

— Takiego aktu gwałtu dokonać mogły tylko chyba narody pogańskie, nieoświecone jeszcze prawdą Ewangelii, pogrążone w barbarzyństwie i ufające tylko w prawo pięści!

Ale dyplomaci niemieccy i rosyjscy, hołdując temu nowemu systemowi politycznemu: siła przed prawem, w poufnych działaniach pomiędzy sobą wyrażali się szczerze i otwarcie:

— Co tam, dobrze się stało, iż Polska rozebrana, bo Polska rządna i silna byłaby dla naszych mocarstw zbyt niebezpieczną sąsiadką!

A gdy cały świat w tym czasie, niepokojony wojnami i wielką rewolucyą francuską, zwracał się ku Francyi, gdzie nowożytni republikanie przelewali strumienie krwi bratniej i dokąd mocarstwa rozbiorowe przedsiębrały krucyatę, aby zgnieść anarchizm i samowolę republikanów[1]) — w Polsce odzywały się głosy oburzenia i żalu:

— Jakże to, na miłość Boską?! Przecież my sami chcemy u siebie wykorzenić taki sam jak we Francyi anarchizm i taką samą swawolę, przeciwko którym wy się wyprawiacie, to wy za to nasz żyjący i tak żywotny naród gwałtem do grobu wtłaczacie, gwałtem rozszarpujecie i zabijacie?!

Tak wołało wielu a całe pokolenie żywo szarpanego narodu, pokolenie porozbiorowe drgało konwulsyjnie, napełniało się żółcią i goryczą, gotowe ciągle do spisków, rewolucyi, do zaciętej walki o święte prawa, o ziemię ojców tak bezprawnie zabraną.

Pojęcie o wielkości, sławie, godności i światowem znaczeniu Polski było tak wkorzenione w codzienne życie, w myśl, w krew nawet narodu, że tego bezprawia rozbioru kraju ani zrozumieć ani przenieść na sobie nie mógł, a domorośli politycy nawet w czasie dokonanych zaborów mówili ze spokojem:

— Jestto niepodobieństwem, żeby rozebrano naszą ojczyznę! Wszakże Polska jest niezbędnie potrzebną do

---

[1]) Stan miejski i wiejski we Francyi, uciskany ciężarami i podatkami, zdzierany i więziony, był rozjątrzony na szlachtę i na dwór króla, którym gardził za jego gorszące życie. To rozjątrzenie wywołało wielką rewolucyę (w r. 1789), w której dopuszczano się okropności, znęcania się, strasznych rzezi i mordów, w której ścięto króla Ludwika XVI-go i królowę Maryą Antoninę. Skutkiem tej rewolucyi nastąpiła zupełna zmiana stosunków państwowych i społecznych i ogłoszenie Francyi rzeczpospolitą (r. 1793). Jeszcze dnia 13 sierpnia r. 1792, kiedy Francuzi uwięzili swego króla, wyruszyły do Francyi wojska prusko-austryackie przeciwko rewolucyonistom, lecz w tych wyprawach nie szczególnie im się powodziło (do r. 1795).

dla spełnienia tak wielkiego dobrodziejstwa, to może i powinien to uczynić ogół społeczeństwa, powinien rozszerzać wśród szerokich warstw wiadomość o doniosłem znaczeniu Pomocy Naukowej, zjednywać mu członków, których na 1 i pół nieomal miliona Polaków W. Ks. Poznańskiego jest zaledwie — 6084.

To stanowczo za mało.

Starajmy się, by za rok miało ono najmniej 10 tysięcy członków......

Taki jest szkic działalności dwóch naszych instytucyi oświatowych. Niestety instytucye te same we własnych sprawozdaniach przyznają, że potrzeb społeczeństwa one dziś jeszcze nie zaspakajają — nie zaspakajały ich dawniej, kiedy te potrzeby były bardzo małe, a czy zaspokoją je w przyszłości, kiedy, jak mamy nadzieję, potrzeby te stawać się będą coraz większe?

Obawiamy się, że skargi na niezaspokojone potrzeby będą coraz większe. Powinno to instytucye te — jednę i drugą — uczynić więcej przystępną względem wniosków członków.

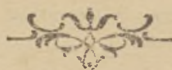
Co do Tow. Czytelni Ludowych postęp na tem polu od paru lat jest znaczny — powiększono liczbę członków zarządu, wznowiono komisyę krytyczną, a w obecnym roku — założono nawet osobny organ „Czytelnię Ludową.“ Wszystko to uprawnia nas do wypowiedzenia nadziei, że przyszłość Tow. Czytelni Ludowych rozwijać się będzie pomyślnie.

Nie możemy jednakże tego samego powiedzieć o Tow. Pomocy Naukowej. Równy, spokojny rozwój tej instytucyi, jest zapewniony, pozostawia jednak niezapełnione luki. I mimo tego dyrekcya odrzuca wszelkie wnioski mające na celu luki te zapełnić.

Jeżeli tak i nadal będzie, to raczej luki te będą się powiększać, innemi słowy rozwój Tow. będzie tego rodzaju, że raczej równać się będzie — cofaniu, a nie postępowi.

Niech sobie uwagi te Szan. Dyrekcya dobrze rozważy i niech ma więcej zaufania do roztropności społeczeństwa, aniżeli okazała go na ostatniem walnem zebraniu. W każdym razie społeczeństwo do instytucyi Naukowej Pomocy odnosi się jak najsympatyczniej i dyrekcya pewną być może, że każde jej usiłowanie o zdobycie znaczniejszych funduszów w społeczeństwie dozna jak najszerszego poparcia.

Członek.



Rozstrój w monarchii habsburgskiej.

I.

Monarchia habsburgska, monarchia austrowęgierska przechodzi obecnie wstrząśnienia wewnętrzne, jakich nie doznawała od roku 1867. Ustanowiony wówczas po długich walkach i rokowaniach z Węgrami dualistyczny ustrój państwa zaczyna chwiać się w swoich podstawach a nawet powoli zupełnie się rozpadać. Ustrój ten polega jak wiadomo na tem, że monarchia ta na zewnątrz składa się właśnie z *dwóch* państw zupełnie równouprawnionych, z Cislitawii czyli Austryi, i z Translitawii czyli Węgier. Każda z tych dwóch części rządzi się na wewnątrz zupełnie samodzielnie, własnemi prawami; żadna nie ma najmniejszego prawa mieszać się do wewnętrznych spraw drugiej. Każda ma *osobne ministerstwo i osobny parlament.* Wspólnemi ich sprawami są jedynie armia i polityka zagraniczna, dalej tworzą one na zewnątrz jedno wspólne ciało handlowo-polityczne z jednolitą monetą. Od roku 1879 przybyła im jeszcze jedna sprawa wspólna, a mianowicie administracya okupowanej wówczas Bośnii i Hercegowiny. Na utrzymanie wspólnych instytucyi obie części monarchii wyznaczają odpowiednie kwoty ze swoich budżetów, a zawiaduje instytucyami temi trzech wspólnych ministrów: dla spraw zagranicznych, dla finansów wspólnych i dla armii; (obecnie Hr. Gołuchowski, min. Burian i generał Pietreich). Dla konstytucyjnego załatwienia wspólnych

---

utrzymania równowagi europejskiej, i państwa sąsiednie i dalsze nigdy na to nie pozwolą!

A przecież Polska już oddawna o własnych siłach utrzymać się nie mogła i dzieliła się na stronnictwa, z których każde w sojuszu z jakiemś obcem państwem chciało kraj wzmocnić i odrodzić. Już od czasu króla Jana Kazimierza (panow. 1648—1668) stronnictwo francuskie w Polsce opierało swoje nadzieje głównie na Francyi. Później Czartoryscy, mężowie bystrego umysłu i doświadczeni, działający już od czasu królów z domu saskiego[2]), namyślali się za ostatniego króla Stanisława Augusta Poniatowskiego (panow. 1764—1795) kogo wybrać: Prusy czy Rosyę; wybrali Rosyę i wbrew własnym intencyom zwalili gwarancyę i jarzmo rosyjskie na karki narodu.

Posłowie Sejmu Czteroletniego (1788—1792) nauczeni doświadczeniem Czartoryskich, chcieli się ściśle połączyć z Prusami i przez nie zbawić Polskę. Twórcy powstania Kościuszkowskiego (1794) zwracali się do Paryża, a także w Austryi pokładali swe nadzieje.

Wszystkie te pokładane nadzieje zawiodły, sojusze z państwami korzyści nie przyniosły, owszem mocarstwa zamiast pomódz rozszarpały nieszczęsną naszą Polskę, działając zwolna i z namysłem, zadając rany dłużej, dotkliwiej, ubezwładniające stopniowo, w trzech odstępach czasu, w trzech zaborach[3]).

[2]) Po śmierci króla Jana III Sobieskiego w r. 1696, obrani zostali na tron polski królowie z domu saskiego: August II (panow. od r. 1697 do 1733) i August III (panow. od r. 1735 do 1763).

[3]) *W pierwszym rozbiorze Polski, 5 sierpnia 1772 r*, zabrały:

Rosya: resztę Inflant, t. j. województwo inflanckie, a także Białą Ruś po Dźwinę, Drucz i Dniepr, t. j. województwa witebskie, połockie i mścisławskie;

Prusy: Warmię i Prusy królewskie t. j. województwa pomorskie, malborskie z Elblągiem i chełmińskie aż do Noteci, odgraniczającej te ziemie od Wielkopolski; na zabranie Gdańska w pomorskiem i Torunia w chełmińskiem nie pozwoliła Rosya;

Austrya: ziemie z prawego brzegu Wisły, a więc część Małopolski i większą część Czerwonej Rusi t. j. prawie dzisiejszą Galicyę bez Krakowa.

W drugim rozbiorze, 23 stycznia 1793 r.:

Rosya: Inflanty, resztę Białej Rusi t. j. województwo mińskie, resztę Ukrainy, Podole, wschodnie Polesie, większą część Wołynia aż do linii od Dynaburga nad Dźwiną, gran. wojew. wileńskiego do Nieświeża i ku granicy Galicyi;

Prusy: Gdańsk, Toruń, wojew. poznańskie, gnieźnieńskie, kaliskie, sieradzkie, Częstochowę ziemią wieluńską, wojew. łęczyckie, kujawskie, ziemię dobrzyńską, wojew. rawskie i płockie. Granica szła od Śląska, potem Pilicą, Bzurą i linią prostą aż do Działdowa;

Austrya: nie brała udziału w drugim rozbiorze.

W trzecim rozbiorze 3. stycznia i 24. października 1795 r.:

Rosya: resztę ziem Polski t. j.: Kurlandyę, Litwę do Niemna, Wołyń i chełmską ziemię do Bugu;

Prusy: cały kraj zachodni między Pilicą, Bugiem i Niemnem, t. j. Mazowsze z Warszawą i Podlasie, część województwa trockiego i Żmudzi i kawał wojew. krakowskiego; kraj ten nazwały Prusami południowemi;

Austrya: kraj między Bugiem, Wisłą i Pilicą, t. j. część wojew. krakowskiego wraz z Krakowem, wojew. sandomierskie i lubelskie i części wojew. mazowieckiego, Podlasia, Litwy i Chełmskiej ziemi, położone na lewym brzegu Bugu; ziemie tę nazwała Galicyą Zachodnią.

(Ciąg dalszy nastąpi).

spraw zbierają się corocznie, raz w Wiedniu, raz w Budapeszcie tak zw. *delegacye*, wybierane przez obopólne parlamenty. Między obu częściami niema granicy celnej, płody i wyroby jednej części mają wstęp wolny do drugiej.

Obok wspólnej armii austro-węgierskiej, istnieją atoli jeszcze dwie armie oddzielne, w Austryi tak zw. *„landwera“* czyli obrona krajowa, na Węgrzech *honwedzi*. Ta landwera — tak samo armia honwedów — różni się o tyle od obron krajowych innych państw, że składa się nie z żołnierzy wysłużonych, powoływanych pod broń tylko na ćwiczenia lub w razie wojny, —lecz z rekruta, pobieranego corocznie tak samo, corocznie jak do wspólnej armii liniowej, jedynie w mniejszej ilości. Bataliony „landwery“ i honwedów liczą w czasie pokoju tylko 250 ludzi. Wspólna armia liniowa (austro-węgierska) składa się w czasie pokoju z 324 tysięcy (324000) ludzi, „landwera“ austryacka z 37000, armia honwedów z 32000. W armii wspólnej i w landwerze austryackiej jest językiem komendy *język niemiecki*. Obok tego atoli używa się jako języków *pułkowych* tych języków ludowych, któremi mówi większa część żołnierzy pułku. W tym języku pułkowym udziela się żołnierzom wszelkich wyjaśnień i instrukcyi — wobec tego i oficerowie władać nimi muszą. Niemieckim jest jedynie język komendy raportów i administracyi. W *honwedach* natomiast zaprowadzoną jest także *komenda węgierska*.

Rozwodzimy się nad tem umyślnie tak obszernie, ponieważ właśnie sprawa armii i języka komendy jest jednym z głównych przedmiotów spornych w obecnem przesileniu.

Dodać jeszcze wypada, że władca Austro-Węgier jest *cesarzem* tylko na zewnątrz i w obrębie Austryi, na *Węgrzech* ma on tylko tytuł i charakter *króla*.

Ten dualistyczny ustrój Węgier był głównie dziełem znanego węgierskiego męża stanu Franciszka *Deaka*. Węgrzy na tym ustroju wyszli bardzo dobrze. Germanizowani dawniej, podobnie jak inne narodowości monarchii habsburskiej rozwinęli się od roku 1867 narodowo wprost potężnie. Wznowili dawną węgierską ideę państwową, wytworzyli sobie wszelkie możliwe instytucye narodowego bytu i rozwoju i zupełnie swobodnie mogli madziaryzować inne narodowości, wchodzące w skład ich państwa. Są to *Rumuni* (około 3 milionów), *Niemcy* (2 miliony), *Chorwaci* (1.700,000), *Serbowie* (1 milion), *Słowacy* (przeszło 2 miliony), wreszcie *Rusini* (około pół miliona) i drobne ilości *Włochów* i *Słowieńców*. Te *nie*węgierskie narodowości stanowią około 55 procent całej ludności państwa węgierskiego (9 i pół miliona na 8 milionów Madziarów) mimo to (— z wyjątkiem wyodrębnionej Chorwacyi) nie posiadają żadnych specyalnych praw narodowo-politycznych. Węgrzy gnębią je — (nie wyjmując Niemców) w podobny zupełnie sposób, jak pewien inny wielki naród nas Polaków, a król węgierski, skrępowany bardzo szeroką konstytucyą węgierską nie ma możności, z własnej inicyatywy losu ich złagodzić.

Większość narodu węgierskiego przyjęła w roku 1867 ugodę tę otwartemi rękoma. Wyjątek stanowiła tylko niewielka partya, która marzyła o zupełnej niezawisłości politycznej Węgier, godziła się najwyżej *na unię personalną z Austryą*. Była to partya roku 1848, „partya niezawisłości“. Jej bożyszczem był słynny dyktator Lajos czyli Ludwi *Kossuth*. Dopóki atoli naród węgierski miał aż nadto do czynienia z upewnieniem i rozwojem zdobyczy roku 1867, z ukształtowaniem narodowego państwa, partya ta ledwie wegetowała. Zmieniło się to dopiero przed mniejwięcej 10 laty, gdy ogół węgierski poczuł się już na siłach do wywalczenia sobie jeszcze większych praw — *na zewnątrz* — wówczas to „partya niezawisłości“ stała się rozsadnikiem idei zupełnej samodzielności narodowo-państwowej Węgier. Z prądem, który ona reprezentowała, z prądem skrajno-narodowym, musiał się z czasem liczyć każdy rząd węgierski, prąd ten musiała uwzględniać każdorazowa większość parlamentu węgierskiego. Tym sposobem powoli lecz stale, wywierając nacisk na koronę, Węgrzy zdobywali sobie coraz większy wpływ na wspólne także sprawy. Aby zaspokoić wzmagające się z roku na rok narodowe aspiracye Madziarów, *Franciszek Józef* coraz nowe czynił im ustępstwa. Między innemi zezwolił na sprowadzenie do kraju zwłok Ludwika Kossutha, tego samego, który na sejmie w Debreczynie przeprowadził detronizacyę Habsburgów. Z dwóch synów Kossutha młodszy, Franciszek, wrócił do kraju i wybrany został od razu posłem i prezesem stronnictwa niezawisłości.

Stronnictwo to rosło w liczbę przy każdych wyborach, a nie przebierało w środkach walki. Ulubioną jego bronią była obstrukcya, ten postrach wszystkich konstytucyjnych ministrów. Dopóki atoli w *Austryi* w drugiej części monarchii, istniał jeszcze względnie silny rząd i parlament, ci narodowcy węgierscy umieli akcyę swoją temperować tak, że nie przebierała miary. Gdy atoli za Badeniego obstrukcya Niemców zapoczątkowała w Austryi chroniczny niemal stan przesilenia, węgierska partya niezawisłości śmielej podniosła głowę i od razu wystąpiła z daleko sięgającemi żądaniami. Przedewszystkiem zwróciła się przeciwko wspólności *ekonomicznej i wojskowej* z Austryą.

Te jej zadania i przebieg walki, jaką one wywołały określimy bliżej w następnym artykule.

I. K. M.

Z Królestwa Polskiego.

Od życzliwego pismu naszemu i poważnego obywatela z Królestwa Polskiego odbieramy następującą sylwetkę tamtejszych stosunków:

Nieprędko, zapewne, doczekamy się wykrycia istotnego powodu ogłoszenia stanu oblężenia, jaki od trzech miesięcy dławi Kongresówkę, — wiemy tylko stanowczo, że przyczyny, wyłuszczane w słynnych komunikatach rządu rosyjskiego, podane były świadomo kłamliwe. Głosząc walkę z żywiołami przewrotu i gwałtami rewolucyi czynnej, represya systematycznie dotyka wybitniejszych narodowców, którym, dla pozoru zarzuca się... propagandę socyalistyczną.

Przebieg represyi odsłania dziwne rzeczy. Gdy w jednych powiatach więzienia przepełnione, a ciągłe rewizye, kontrybucye i areszty są zjawiskiem stałem, w innych o burzy dowiadują się z pism i powieści ludzkiej. Widoczną jest zupełna dezorganizacya władzy centralnej, skoro każdy naczelnik powiatu lub okręgu żandarmskiego działa wedle upodobania: co wieżyczka, to inne prawo. — Zachodzą niekiedy wypadki wprost zabawne: gorący propagator moskiewski zostaje skazany na 3 miesiące więzienia za „agitacyą przeciwrządową“ — bo bardzo krzyczał na uchwale gminnej, gorliwy zaś strażnik ziemski wykazał go w „donosie“ naczelnikowi, jako wpływowego agitatora.

Gorliwość naczelników wypływa przeważnie z przyczyn osobistych: zemsty i chciwości. Ci panowie mają złote czasy, jakich bodaj nie oczekiwali. — Dzięki brakowi organizacyi

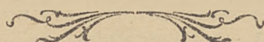
wśród ogółu polskiego i zanikowi opinii publicznej, wykupywanie się zamożniejszych od kraty więziennej bardzo się rozpowszechniło, potęgując, oczywiście energię zbawców „zagrożonej" Rosyi. — Raportów, składanych czasowym jenerał-gubernatorom, nikt nie sprawdza, na mocy zaś dowolnych oskarżeń spadają całą chmarą wyroki „administracyjne", od których nie ma rekursu. W pewnem mieście, np. w gubernii kaliskiej gromada żydów udała się na cmentarz w rocznicę śmierci rabina w celach rytualnych, za wiedzą policyi, — wracając zaś, spotkała zrekwirowane wojsko i kilku biedaków znalazło się niebawem w więzieniu z decyzyi naczelnika powiatu pod zarzutem nielegalnego a tłumnego zgromadzenia. Ten sam los groził następcy zmarłego rabina i jego bogatemu teściowi. Rzecz skończyła się jednak pomyślnie; pan naczelnik zażądał 2000 rb. okupu, poprzestał dla łaskawego usposobienia na ośmiu setkach i aresztowani odzyskali wolność, rabin zaś i teść jego żadnych nieprzyjemności nie mieli. — Potem żydzi niewdzięczni wnieśli skargę, nastąpiło „surowe" śledztwo z udziałem dwóch podprokuratorów i wykazało się, że pan naczelnik jest w porządku. Przypuszczać się godzi, że za doznaną przykrość nagrodzony będzie awansem, a przynajmniej orderem.

Odpowiedzialność za utrzymywanie broni daje też niepospolite korzyści. Jedna wycieczka na wieś w towarzystwie „przystrojonej" siły zbrojnej w kapiszonowe pojedynki, stare rewolwery bez naboi i tym podobny „oręż", przynosi odrazu parę set rubli. Trudno wymagać, aby policya przykładała rękę do zakończenia tak błogosławionego okresu o zniesienie stanu oblężenia; więc wciąż „grozić musi" w Królestwie wybuch „zbrojnego powstania". A tymczasem rozwielmożniły się w kraju rozboje, najspokojniejsi ludzi drżą przed opryszkami. Policya nie ma czasu troszczyć się o bezpieczeństwo po drogach i ulicach, skoro trapienie „zbrodniarzy" politycznych t. j. bezbronnych narodowców, milej przypada do serca.

Jeszcze słówko o pomysłowości policyi rosyjskiej.

Nadzwyczajne pełnomocnictwa, przysługujące czasowym jenerał-gubernatorem (czytaj: naczelnikom powiatów i okręgów żandarmskich) pozwalają skazywać na więzienie do trzech miesięcy bez zachowania jakichkolwiek form postępowania. Gdy skazaniec karę odbędzie, wytacza mu się proces karny polityczny przed wypuszczeniem z więzienia pod dowolnym pretekstem. Śledztwo, czasu którego żaden przepis nie określa, prowadzą żandarmi; gdy po upływie paru miesięcy prokurator, po przekazaniu mu aparatu śledczego, wniesie o umorzenie postępowania dla braku czynu karnego i sąd wniosek jego zatwierdzi: niedoszły oskarżony może być skazany na więzienie do trzech miesięcy w drodze administracyjnej z mocy cyrkularza gabinetowego p. Durnowo, ministra spraw wewnętrznych. Tą metodą łatwo jest po zagwarantowaniu w manifeście carskim z dnia 30 października roku 1905 nietykalności osobistej przebyć cały roczek pod kluczem, nie dowiedziawszy się nawet, o co chodzi. Toż w wyrokach obecnych administracyjnych nie zawsze cytowane jest przestępstwo, które wywołało karę.

Nadzieja przecież w Bogu i w budzeniu się poczucia narodowego wśród mas włościańskich, — a złe najdokuczliwsze przed odchodnem podług polskiego przysłowia. *Kresowiec.*



Z zaboru rosyjskiego i z Rosyi.

(Własna korespondencya „Pracy".)

(*Tortury w Warszawie. Prześladowanie prasy. Stan wojenny. Policya a bezpieczeństwo publiczne. Bandytyzm. Znaczenie wyborów i ich względna swoboda. Wybory w caracie a administracya. Teroryzm wyborczy władz. Prześladowanie obywateli. Przebieg i wynik wyborów dotychczasowych. Szczegóły ciekawe. Sprawa Szmidta*).

O stosowaniu tortur w więzieniach i cyrkułach warszawskich mówi się głośno już od czasu rozruchów styczniowych w roku ubiegłym. Szczególnie częste zastosowanie ma t. zw. słona dyeta, polegająca na odmawianiu więźniom wody i żywieniu ich wyłącznie śledziami. Jest to najniewinniejszy ze środków, mających na celu wymuszenie zeznań z uwięzionych. Po strejkach i rozruchach ostatnich chodziły wieści o okropnych znęcaniach się nad aresztowanymi, o biciu i katowaniu nieszczęśliwych ofiar. Szeptano o przejmujących grozą scenach w cytadeli warszawskiej, o wylowionych w Wiśle oszpeconych okropnie trupach nieszczęśliwych ofiar...

Prześladowana prasa miejscowa z konieczności przemilcza fakty, przypominające czasy hiszpańskiego średniowiecza. Dziś wyraz głośny oburzenia daje prof. Baudouin de Courtenay piętnując ohydę na łamach petersburskiej „Rusi." (Przegląd prasy).

Do licznego szeregu kar i konfiskat przybywają nowe: zawieszono na miesiąc „Pracę polską", organ demokracyi narodowej, prześladowany ze szczególną zawziętością. Zamknięto humorystyczne „Żądło", zawieszono „Promień Polski", ostatnie pismo ludowe, jakie dotychczas ocalało od tej wściekłej naganki na wolne polskie słowo. Natomiast zawieszonej „Gazecie Świątecznej" pozwolono wznowić wydawnictwo.

Gdyby nie to prześladowanie prasy, zdawało by się, że słabnie znacznie teroryzm stanu wojennego. Potrosze wypuszczają więzionych administracyjnie włościan i obywateli. W Lublinie wypuszczono ostatnio kilkanaście osób, aczkolwiek ogólna liczba aresztowanych jest jeszcze bardzo znaczną i w niektórych powiatach, jak np. gostyńskim dochodzi do kilkudziesięciu. Po za socyalistami i sprawcami zamachów, są to niemal wyłącznie t. zw. agitatorzy gminni, rzecznicy uchwał polskich, nauczyciele ludowi, lub też osoby, niezbyt starannie przestrzegające surowych przepisów stanu wojennego. Przepisy te nie znają litości: w Sosnowcu właściciel apteki zdjął szyld celem przemalowania, a że „każdy sklep obowiązkowo musi posiadać szyld," więc aptekarz skazanym został na 100 rubli kary.

Władze rosyjskie, działające z energią w kierunku najmniejszego oporu, czyli ścigające zawzięcie najbłahsze przewinienia polityczne, nie wypełniają najważniejszego zadania swojego: ochrony mienia i życia, i bezpieczeństwa publicznego, co przecież jest najpierwszym obowiązkiem władz na całym świecie. Dzięki tej niebywałej i wprost zbrodniczej obojętności policyi i administracyi rosyjskiej, bezpieczeństwo publiczne w Warszawie, Łodzi i nawet po wsiach w niektórych okolicach kraju, jest mniejszem bodaj, niż w słynnej z rozbojów i bandytyzmu Sycylii. W Warszawie nie ma dnia, by nie dokonano najbardziej śmiałego napadu na bank, biuro, lub też mieszkanie prywatne. Kronika z jednego tygodnia dostarcza po kilkadziesiąt i więcej faktów. Uzbrojeni w rewolwery bandyci w liczbie 10—15 napadają na kasy, sklepy i domy, unosząc łupy obfite, a pozbawiona nawet prawa samoobrony ludność (posiadanie rewolweru karane jest więzieniem) ograniczać się musi na zaopatrywaniu domów w dzwonki, żelazne okiennice, sztaby i t. d. Policya nie wdaje się w takie „drobnostki".

Alarmujące wieści o wyłączeniu Królestwa z wyborów do pierwszej Iz-

by doczekały się urzędowego zaprzeczenia. Zresztą nie wpłynęły one na osłabienie agitacyi wyborczej , która już sama przez się jest rzeczą wagi niezmiernej. Naogół odbywa się bez przeszkód ze strony władz, a na wiecach w rzadkich zaledwie wypadkach uczestniczy policya i to jedynie w Warszawie; na prowincyi odbywają się wiece bez tej ozdoby. To też zupełnie śmiało mówi się o naszych zadaniach. o autonomii, równouprawnieniu i t. d. a uświadomienie szerokich warstw ludu dzięki wyborom czyni szybkie postępy. Nie słyszałem dotychczas o jakich karach za przemowy wiecowe.

Rzecz ciekawa i wysoce charakterystyczna: W samym caracie wybory się odbywają przy największych przeszkodach i niesłychanym teroryźmie władz. Wbrew ukazowi carskiemu, zezwalającemu na przedwyborcze zebrania, na prowincyi słychać o nich niezmiernie mało, a to z powodu bezprawnego postępowania administracyi, zakazującej zebrań. Tysiączne aresztowania, gwałty i ucisk władz, i to nietylko w tych miejscowościach caratu, gdzie istnieje stan wojenny lub stan wzmocnionej ochrony, lecz wszędzie trzymanie w więzieniach wybitnych przedstawicieli inteligencyi zawodowej, i stan zupełnego bezprawia, w jakiem pozostaje ludność „konstytucyjnego“ państwa — to wszystko sprawia, że wybory do Izby i przygotowania wyborcze się odbywają w warunkach, jedynych w swoim rodzaju, niebywałych na świecie, a niezmiernie trudnych dla łaknącego wolności narodu rosyjskiego. „Ruś“, „Nowosti“ i inne organy postępowej opinii rosyjskiej są przepełnione opisami jaskrawych nadużyć i trudnych do wiary gwałtów rządowych.

Tu władze wprost zabroniły przedwyborczych zebrań, tu aresztowano osoby, upatrzone na kandydatów, lub wprost niewygodnych biurokracyi i bez wyroku i sądu zamknięto w więzieniu. Tam znów gubernator objeżdżał wsie i agitował osobiście, proponując wybór urzędników lub powolnych rządowi włościan. Najbardziej prześladowanem jest stronnictwo demokracyi konstytucyjnej, potężne, wpływowe, a rządowi wrogie. Ścigane jest zakazami oraz więzieniem wybitnych członków. A w Rosyi całej tysiące ludzi zapełnia więzienia, na zasadzie prostych wyroków administracyjnych. Setki skazano na wygnanie do północnych, podbiegunowych okolic caratu. Zapełniają więzienia włościanie, bici i mordowani podczas pogromu dworów, a dziś zsyłani masowo do Azyi środkowej.

Strach jest tak wielki, że nikt się nie ośmiela zwoływać zebrań lub zgłaszać swą kandydaturę. Pod tym względem gorzej tu nawet, niż w Królestwie, gdzie rząd, nie mając zgoła widoków przeprowadzenia swych kandydatów nie ma wprost celu tłumić akcyę wyborczą. Inna rzecz z Rosyą: tam, przy wysiłkach, zakazch i gwałtach, może się uda przeprowadzić do Dumy reakcyonistów i czarnosetników.

Czy rząd dopnie swego? Czy Dumę zapełni „swoim“ ludźmi? Zapewne nie. Wybory z kuryi włościańskiej już się odbyły w 25 guberniach caratu i dały w znacznej większości wynik dla rządu niekorzystny. Pomimo zakazu zebrań uprzednich, małego uświadomienia włościan, faworyzowanych dla tego w ordynacyi wyborczej — pomimo rządowego nacisku — wyszli w większości przeciwni rządowi kandydaci. Stwierdzają to „Nowosti“ w długim artykule, z którego wieje otucha. Gubernia petersburska wybrała zwolenników partyi skrajnych, odesska również, a opozycyjne usposobienie włościaństwa, dotychczasowej pseudo podpory caratu, daje się zauważyć wszędzie.

Parę ciekawych szczegółów: w Spassku, gub. Tambowskiej wśród 51 wybranych znajduje się 46 popów; w Jekaterynosławiu na Dnieprze — w liczbie 194 wybranych znajduje się 151 Niemców kolonistów. Udział w wyborach w caracie jak dotąd jest bardzo nieliczny — nie głosuje nawet połowa, a rzadko nawet trzecia część wyborców.

O kandydatach, z wyżej wymienionych powodów, mówi się mało. Kandydatem dem.-konst. z Petersburga jest rodak nasz prof. uniwersytetu Petrażycki. Na zwolenników tego stronnictwa, jako najbardziej nam przychylnego, popierającego w całości hasło autonomii Królestwa, zobowiązali się głosować Polacy w Rosyi. A głosy ich też mogą zaważyć na szali. Petersburg, Moskwa, Odessa mają kolonie polskie, po 30—50 tysięcy głów liczące.

Po za wyborami, sprawa porucznika Schmidta zajmuje żywo opinię rosyjską. Ten dzielny marynarz, przywódzca rewolucyi sewastopolskiej, skazany został przez sąd wojenny na karę śmierci.

Cała Rosya przez usta związków, towarzystw, gazet protestuje namiętnie przeciwko wykonaniu tego barbarzyńskiego wyroku na szczytnym bojowniku wolności i żąda przy tej okazyi zniesienia kary śmierci, kary, którą ostatnio tak szafowano bez miary... Protesty wszelkie nic nie pomogły i por. Schmidt już został stracony...

Sarmata.

Korespondencya z Galicyi.

(Własna korespondencya „Pracy“.)

Kraków, dnia 25-go marca 1906.

Nareszcie skończyło się pierwsze czytanie projektu reformy wyborczej w parlamencie austryackim, czyli w Izbie poselskiej Rady państwa. Z Koła polskiego przemawiali jeszcze: jedyny reprezentant Polaków ze Śląska austryackiego dr. Michejda i członek grupy ks. Pastora, dr. *Opydo*. Pierwszy wykazywał krzywdę wyrządzoną polskiej ludności śląskiej w projekcie rządowym i żądał dla niej *czterech* zamiast trzech mandatów; drugi polemizował z tymi mówcami niemieckimi, którzy zarzucali Galicyi bierność podatkową i niższość kulturalną. Z posłów polskich, nie należących do Koła, zabrali głos: niezawisły socyalista Breiter ze Lwowa i „ludowiec“ Olszewski. Dyskusya wyczerpała się wreszcie w ubiegły piątek. Projekt przekazano następnie osobnej komisyi, złożonej z 49 członków. Do komisyi tej należy siedmiu członków Koła polskiego. Tu dopiero rozpoczną się na dobre targi z rządem. Jaki będą miały przebieg i kiedy się skończą — trudno na razie przewidzieć. Jedni, przypuszczają, że projekt reformy wyborczej wróci do Izby zaraz po wakacyach wielkanocnych, inni, że dopiero podczas sesyi jesiennej. Tak samo, a nawet większym jeszcze znakiem zapytania są widoki całej reformy. Czy znajdzie się dla niej większość w Izbie? Na to pytanie dziś nikt jeszcze jakiejkolwiek pewniejszej odpowiedzi dać nie może.

W kołach polskich demokratycznych *przypuszczają*, że rząd zdoła przeforsować projekt, i że w celu przejednania Polaków ofiaruje im 7 do 9 mandatów nowych, tak że liczba mandatów Galicyi wzrośnie na 95 do 97 a liczba mandatów polskich mniejwięcej na 70. W sferach tych biorą także za złe prezydyum Koła, że zagniewane na prezydenta gabinetu barona Gautscha nie pertraktuje z nim w sprawie liczby mandatów bezpośrednio, lecz za pośrednictwem namiestnika Galicyi, hr. *Potockiego*.

Za kilka dni parlament austryacki zajmować się będzie wnioskiem obu grup wszechniemieckich, żądającym wyodrębnienia Galicyi. Wniosek ten,

prawdopodobnie zostanie odrzucony, conajwyżej zaś, przekazany będzie komisyi, w której utonie. O sprawie wyodrębnienia Galicyi pisałem obszernie w „Pracy“ przed dwoma laty, gdy poruszyło ją wówczas na nowo stronnictwo narodowo-demokratyczne. Wykazałem wówczas, że jednym z głównych przytem pytań jest, czy kraj ten, otrzymawszy stanowisko bardziej samoistne, podołałby połączonym z tem stanowiskiem zadaniom finansowym? Galicyi przypadłyby wprawdzie wówczas w udziale także podatki, opłacane obecnie rządowi centralnemu, lecz w zamian za to zmuszoną by była odtąd utrzymywać wszystkie instytucye, pozostające obecnie na „żołdzie“ *całego* państwa, a więc administracyę polityczną, sądy, szkolnictwo średnie i wyższe, poczty, część kolei etc. etc. nadto zaś płacić by musiała pewną kwotę na utrzymanie wspólnej armii i przyjąć na siebie znaczną część ogólnych długów państwowych. Lecz, jak już zaznaczyłem w poprzedniej korespondencyi, sprawa ta także z innych przyczyn natury politycznej, nie jest na razie dla społeczeństwa polskiego w Galicyi wprost aktualną. Nie ulega też wątpliwości, że wniosek Wszechniemców przebrzmiałby był bez wszelkiego wrażenia, gdyby nie miał bezpośredniego związku z reformą wyborczą. Pojawia się on w chwili, w której Młodoczesi domagają się rewizyi konstytucyi państwa w kierunku szerszego uwzględnienia historycznych praw krajów koronnych, a nawet reprezentanci tak zw. niemieckiej wiernokonstytucyjnej większej własności ziemskiej — żywiołu konserwatywnego — żądają zwołania *konstytuanty* celem innego ukształtowania ustroju państwa. Nie ulega dalej wątpliwości, że i konserwatywna większość Koła polskiego, która dotychczas była przeciwna wyodrębnieniu, skorzysta z tej sposobności, aby z jednej strony nowe trudności wytworzyć dla rządu, a z drugiej uzyskać rozszerzenie autonomii Galicyi, o co dopomina się w swej rezolucyi w sprawie reformy wyborczej. Jakkolwiek więc wniosek Wszechniemców nie ma na razie żadnych widoków, iżby mógł być zrealizowany, dyskusya nad nim będzie może bardzo interesującą i dużo nowych dostarczyć może przyczynków do tej sprawy. Już z tego powodu odkładam ponowne obszerniejsze jej omówienie do jednej z następnych moich korespondencyi. Dziś tylko zaznaczę, że lewe skrzydło demokratów galicyjskich, tak zw. „skoncentrowani“, jako nieodzowny warunek wyodrębnienia Galicyi lub rozszerzenia jej autonomii stawiają żądanie równoczesnego rozszerzenia *prawa wyborczego do sejmu galicyjskiego,* wyrażając obawę, że obecny galicyjski sejm kuryalny nie zdołałby sprostać nowym trudnym zadaniom. Dalej wypada nadmienić, że najzaciętszymi wrogami wyodrębnienia są *Rusini.* Twierdzą oni, że „wydałoby to ludność ruską na łup szlachty polskiej.“ Lecz o tem — potem.

Na zakończenie mała wiadomość *statystyczna.* Otóż według najnowszego spisu ludności Kraków w końcu stycznia liczył 101.789 mieszkańców, w liczbie tej 73.364 katolików i 28.245 żydów. Załoga wojskowa składała się w dniu [illegible] z 6094 ludzi. Przewaga liczby kobiet nad płcią męzką nie jest tak wielka, jak w innych miastach, na 50,099 mężczyzn przypada bowiem kobiet 51,690. *Galicyanin.*

* * *

W ostatniej chwili donoszą nam z Krakowa:

Rozprawy nad wnioskami *Wszechniemców,* żądającemi *wyodrębnienia Galicyi,* rozpoczęły się w parlamencie austryackim już we *wtorek* i przybrały większe rozmiary, niż przewidywano.

Koło polskie po ciężkiej walce większości z mniejszością w swojem łonie, postanowiło głosować *za nagłością tych wniosków* i przekazaniem ich komisyi dla reformy wyborczej. Jest to akcya jedynie *taktyczna.* Wobec bowiem oświadczenia prezydenta gabinetu *Gautscha,* iż rząd *nigdy na wyodrębnienie Galicyi nie zezwoli,* i wobec opozycyi *wszystkich Słowian austryackich przeciwko takiemu usunięciu Polaków z parlamentu austryackiego,* co wydałoby tych Słowian na łup większości *niemieckiej* — o zrealizowaniu wniosków wszechniemieckich na razie ani mowy być nie może. Większość Koła bynajmniej też na to nie liczy, pragnie jedynie tem swojem stanowiskiem w tej sprawie *utrudnić przeprowadzenie reformy wyborczej.* Przebieg dyskusyi — w tej chwili, gdy to piszemy, jeszcze nieskończonej, podamy w następnym numerze.

Przegląd prasy.

Zaiste średnie wieki z całą ich zgrozą ślepego fanatyzmu i okrucieństwa przypominają nam się, gdy czytamy w liberalnej, rosyjskiej „Rusi“ następujący list prof. Baudouina de Courtenay (czytaj: boduena de kurtenaj):

„Z bólem, i być może z większą jeszcze bezsilnością posyłam Wam list ten, dopiero co przyniesiony przez osobę, zasługującą na bezwarunkowe zaufanie; — otrzymała go ona z ratusza przez pośrednictwo pewnej osoby.

„Głuche wieści chodzą po mieście: zaczęli torturować i otrzymali mnóstwo wyznań zarówno zgodnych z prawdą, wymuszonych, jak i kłamliwych, wymyślonych wśród tortur. Aresztowania się mnożą. Tu na miejscu, my nie jesteśmy w stanie podać te zbrodnie do wiadomości publicznej.

„Tę nowość (t. j. tortury) wprowadził, jak powiadają, nowo mianowany dwa tygodnie temu naczelnik wydziału śledczego Grün.

„Posyłam Wam, wiedząc, że postaracie się, by te mrożące krew w żyłach fakty były opublikowane w Rusi i doszły do wiadomości publicznej.

„2. *Dodatek*:

„Wincenty Sieczka i Edmund Kępski zostali strasznie pobici w wydziale śledczym; przez cztery noce bito ich pałkami; mają znaki na plecach od uderzeń.

„Sieczkę uderzono kijem przez głowę tak mocno, że ogłuszono go tak, że nic nie słyszy; z tego powodu zdarzają się z nim ataki (konwulsyi i traci wtedy przytomność). Umieraliśmy z pragnienia — piszą oni — a wody nam dać nie chcieli, by zmusić nas do przyznania się do winy, przez nas nie popełnionej. Zmuszali nas do picia wódki, a gdyśmy byli bez przytomności, zmuszali nas pod groźbą kijów potwierdzać ich słowa i podpisywać protokóły, grożąc nam wyrwaniem zębów. Wyrywali nam włosy z głowy, skakali ze stołu na piersi i brzuch; bili kijami po kolanach i nogach, drapali podeszwy, męczyli w sposób najokropniejszy i pozbawionych przytomności, zbitych, zmuszali do podpisywania protokółów.

„Wobec tego, co dziś się dzieje na całej przestrzeni „wielkiego państwa wschodniego“, nic niema nadzwyczajnego w tych czynnych warszawskich „usmiritielej“ i wypleniaczy „buntu“.

Prof. Baudouin de Courtenay.“

Więc to w *Warszawie* (!) się dzieje — pomyślą Czytelnicy ze zgrozą. Tak — w Warszawie — hulają Moskale, a Warszawa w czasach zagwarantowanej manifestem carskim „swobody słowa“ — milczeć musi i straszną tę wiadomość obwieszcza światu za pośrednictwem przyjaciela, rosyjskiego męża nauki i za pomocą rosyjskiego pisma.

Ot braciom naszym „rosyjska“ wolność.

* * *

Pamiętny pewnie jeszcze jest fakt, który wydarzył się na początku 1904 r. że rząd nakazał nauczycielom występować ze spółek polskich. O ile nam wiadomo, nauczyciele zakazu tego po-

słuchali i wystąpili z naszych kas oszczędności, banków ludowych itp. Nie dość tego rządowi. Oto co donosi obecnie *„Lech“* w tej sprawie:

„Inspektorowie powiatowi szkólni rozesłali do *emerytowanych nauczycieli* szkół ludowych wezwanie, aby w przeciągu tygodnia się oświadczyli, *czy są członkami spółek lub banków polskich.* Równocześnie wydali nakaz natychmiastowego wystąpienia“.

Niema co wątpić o tem, że „Lech“ donosi prawdę. Nie byłby to zresztą pierwszy wypadek, że od emerytów, Polaków żąda się tego samego, gdy są w urzędzie jeszcze, t. j. stronienia od polskości i popierania o ile możności niemczyzny. Pytanie tylko, czy nakazów wydanych w tej myśli emeryci — słuchać muszą?

Otóż na pytanie to należy odpowiedzieć *przecząco!* Nic potrzebuje emeryt słuchać żadnych nakazów władzy, bo już od niej nie jest zależnym. Dowodem tego są wyroki wydane już niejednokrotnie nawet przez — sąd Rzeszy. Zatem — niech nakaz wystąpienia z polskich spółek, wystósowany do nauczycieli-emerytów powędruje spokojnie do kosza. A swoją drogą zaznaczyć należy, że nakaz taki wygląda na prostą szykanę, szczególnie gdy się uwzględni podeszły wiek emrytów i sterane ich ciężką pracą siły.

* * *

Znany już jest czytelnikom naszym zatarg Polaków berlińskich z proboszczem przy kościele św. Piusa. Mężczyźni i kobiety uchwalili kościół ten omijać. Nie dość na tem. Postanowili rodzice polscy dzieci swoje, uczęszczające na naukę do sakramentów św., do pierwszej komunii św. nie dopuścić. Z powodu tego udał się *„Dziennik Berliński“* do jednego z wybitnych duchownych w W. Ks. Poznańskiem z prośbą o odpowiedź na następujące pytania:

„1) czy dzieci, mające przystąpić do I. komunii św., obowiązane są to uczynić koniecznie w kościele parafialnym,

„2) czy w razie, gdyby chciały przystąpić do I. komunii w innym kościele, obowiązane są postarać się o pozwolenie na to miejscowego proboszcza, np. w tym przypadku ks. dziekana Franka.

„3) czy ewentualnie dzieci mogą przystąpić do I. komunii św. na zwykłej mszy św. bez osobnych ceremonii.“

Na zapytania te otrzymał „Dz. Berliński następującą odpowiedź:

„Szanownemu Panu Redaktorowi na pismo Jego, które dziś otrzymałem w sprawie I. komunii św. dzieci, odpowiadam uprzejmie, że prawo kanoniczne rezerwuje właściwym duszpasterzom (proboszczom lub ich zastępcom) jako wyłącznie „jura parochiala“ (prawa proboszcza): chrzty, spowiedź i komunią św. *wielkanocną*, zapowiedzi i śluby, ostatnie namaszczenie olejem św. i pogrzeby (cfr. dr. Vering, Lehrbuch des Kirchenrechts, II. wydanie str. 604. — P. Schüch, Handbuch der Pastoral-Theologie, VII. wyd. str. 62).

„Z tego wynika, że I. komunia św. dzieci jako nie wielkanocna *nie jest wyłącznem prawem właściwego duszpasterza.*

„Zatem tylko względy konwencyonalne, koleżeńskie (nie zaś prawne) spowodowałyby może pasterza obcej parafii do porozumienia się z właściwym pasterzem dzieci, które w nieswojej parafii mają przyjąć I. komunią św.

„W każdym razie przyjęciu przez dzieci I. komunii św. na zwykłej mszy św. (i w dodatku bez ceremonii) w jakimbądź kościele lub kaplicy publicznej nie może być na przeszkodzie, byle stwierdzonem było, że dzieci do tego ważnego aktu są należycie przygotowane.

Z prawdziwym szacunkiem

Ks. . . . .“

Faza więc niezwykłego bojkotu nabiera nadzwyczajnej ostrości. Polacy starają się — co każdy bezstronny, o dobro sprawy katolickiej dbały człowiek przyznać musi — postępować sobie prawnie. Ciekawość budzi pytanie: **czy władza duchowna długo jeszcze pozostanie głuchą na prośby Polaków.**



Tydzień polityczny.

Wspomnieliśmy już w przeszłym numerze, że *rząd pruski* wniósł do sejmu t. zw. „reformę prawa wyborczego“, tego prawa, które nawet sam Bismark nazwał *najnędzniejszym* systemem wyborczym. Wniesiona reforma żadnej zmiany tego systemu nie wprowadza. Wykazały to dostatecznie obrady sejmowe, jakie o tej sprawie się toczyły. Stronnictwa postępowe żądały *powszechnego, tajnego, bezpośredniego i równego* prawa wyborczego, tego samego, jakie istnieje do parlamentu. Liberałowie i konserwatyści natomiast oświadczyli, że obecny system najbardziej odpowiada (?) potrzebom ludności, że im się najwięcej podoba (!) i odesłali reformę rządową do komisyi, która w niespełna tygodniu zdążyła ją raz przyjąć i przystąpiła nawet do drugiego jej czytania.

Rozumie się ,że w *Prusiech* tylko taka reforma przyjętą być może, która najnędzniejszemu prawu zapewnia jego dalsze istnienie.

W chwili, gdy to piszemy, toczą się w sejmie obrady — nad memoryałem komisyi kolonizacyjnej. Do głosu zapisani posłowie nasi *Dr. Dziembowski i Dr. Skarżyński.* O memoryale i rozprawach rozpiszemy się w następnym numerze obszerniej.

Konferencya *marokańska* dobiega do końca. Układy toczą się już obecnie tylko jeszcze o brzmienie uchwał. Obyło się więc bez burzy wojennej. A choć na początku zdawało się, że Francya z tego dyplomatycznego pojedynku nie wyjdzie bez porażki, to istotnie konferencya kończy się — porażką Niemiec. Te Niecmy, które tak butnie stawiały swe żądania, dziś zadawalają się opinią, że interwencyą swoją zwróciły one *uwagę* państw europejskich na międzynarodowe znaczenie Marokka, że uratowały samodzielność sułtanowi, i nie pozwoliły kraju zagrabić Francyi. Wolne żarty. Faktem zaś jest, że Niemcy oprócz drobnych korzyści w sprawie bankowej nic nie wskórały — a same niejednokrotnie naraziły się na ostre kpiny. Nie możemy przemilczeć ostatniej takiej sprawki, która dużo hałasu narobiła, a o której sami Niemcy przyznają — że poczęta była co najmniej niezgrabnie. Otóż zachciało się Niemcom ogłosić światu, że Francya jest w Algeciras osamotniona, że ją Anglia, że ją nawet opuszcza Rosya. W odpowiedzi na tę pogłoskę ogłosiły pisma francuskie notę ministra spraw zewnętrznych Rosyi hr. Lamsdorffa, że Rosya zawsze i wszędzie popierać będzie Francyę.

Podobne oświadczenie złożyła i Anglia. I wydało się — kłamstwo, którem Niemcy położenie swoje w Algeciras poprawić chcieli. Rozumie się, że skutek był wręcz odwrotny. — Wolnomyślna prasa niemiecka (Berl. Tagebl.) nie szczędzi z powodu tego rządowi bardzo gorzkich przymówek.

We *Francyi* wybuchnął z powodu katastrofy w Courrieres strejk górniczy, połączony z poważnemi rozruchami. Układy między górnikami a właścicielami toczą się dotąd bezskutecznie. Górnicy żądają częścią 8 franków dziennego zarobku i ośmiogodzinnego dnia roboczego, częścią 7 fr. 10 ct. — a właściciele podobno ofiarują 6 fr. i 80 ct. Z powodu tego strejku we Francyi wszczął się także między górnikami niemieckimi w zagłębiu westfalsko-nadreńskim ruch. Ruch ten ma przynieść pomoc górnikom francuskim i skierowany jest przeciwko nadgodzinowym pracom. Socyaliści rozważają możliwość ogólnego strejku.

W *Anglii* nieustannie się szerzy sympatya ku Niemcom wśród przedstawicieli miast. Sprzecza się z temi usiłowaniami polityka Anglii, tak, że projektowany zjazd monarchów niemieckiego i angielskiego ma być zaniechany na razie, ponieważ cesarz Wilhelm na swego wuja Edwarda VII ma być zagniewany. Chodzi oczywiście o konferencyą w Algeciras.

W *Rosyi* rozruchy nie ustają. Niedawno donoszono, że wojska znowu zaczynają się buntować. Depesze doniosły o wrzeniu w pułkach *sewastopolskich i moskiewskich. Finlandya* tymczasem zdaje się pragnie skorzystać z trudnego położenia Rosyi, by się całkiem od niej oderwać. Po kraju całym rozrzucono odezwy nawołujące do przygotowania się na czas ew. walki...

. . . .

* * *

Telegramy pism niemieckich donoszą, że komitet wyborczy Górnego Śląska postawił na okręg bytomsko-tarnogórski naczelnego redaktora „Katolika" p. Adama Napieralskiego na kandydata do parlamentu w miejsce Królika.

Spodziewamy się, że wiadomość ta się potwierdzi, uważamy bowiem wybór p. Napieralskiego za trafny. (Fotografia znajduje się w dziale illustrowanym).



Głosy od Przyjaciół.

Rozdzień-Szopienice, dn. 23 marca 1906 r. (*Rewizye — bojkot — rozwój „Sokoła" w Roździeniu*).

Szanowna Redakcyo „Pracy" — Kochani Czytelnicy! Kreśląc te kilka słów, zwracam uwagę na mowę posła naszego Bernarda Chrzanowskiego, wygłoszoną w parlamencie niemieckim w środę, dnia 14 marca r. b. Otóż gdy tam nasz poseł, wytacza przed całym światem nasze skargi i krzywdy, i takowe potwierdza faktami, a rząd pruski zda się, jeszcze powątpiewać o prawdziwości takowych, w tym samym czasie co się dzieje u nas na Górnym Śląsku, i to w naszej miejscowości Roździeniu-Szopienicach?

W dniu 16 marca b. r. przyjeżdża do Roździenia zastępca prokuratora, i to z panem Medlerem, komisarzem granicznym z Bytomia, oraz z wyższym urzędnikiem sądowym. Otóż przy pomocy tutejszej policyi i amtowego urządzają szereg rewizyi. I tak urządzono rewizye aż u 11-tu członków „Sokoła" miejscowego. I czegóż szukano? — Otóż szukano dokumentów jakiegoś mającego tu istnieć, tajnego towarzystwa czy tam związku. Zabierano też co się dało, jak n. p. książki towarzystwa, protokóły, listy, każdy kawałek papieru zapisanego, karty pocztowe, widoczkówki, listy prywatne, notesy, a najpilniej szukano za polskiemi śpiewnikami. Rewizyi dokonano z polecenia prokuratora. Tak więc znów „Sokół" nasz z pewnością będzie miał proces, choć wprawdzie tajnego nic nie wykryto.

I czy myślicie, że na tem zakończę. Bynajmniej! Posłuchajcie co ciekawszego.

W ubiegłą niedzielę t. j. 18-go marca odbyło się tu u nas, zwyczajne zebranie „Sokoła." Po zebraniu udało się dwóch druhów do pobliskiej restauracyi na szklankę piwa. Wszedłszy do lokalu, jeszcze nie zajęli miejsca przy stole, gdy za nimi wchodzi policyant, a przeszedłszy do drugiego pokoju, tam się ulokował. W tym samym czasie dzierżawca wyszynku, który sam obsługiwał gości, wzywa jednego z druhów na ubocze, i oświadcza mu, że: jakkolwiek mu to przykro, on musi się zastósować do rozkazu gospodarza, który mu zakazał, i że mu nie wolno członków „Sokoła" gościć u siebie. Oburzeni tem oświadczeniem druhowie, przed odejściem żądają głośno, wobec gości (którzy tak samo się oburzyli na takie postępowanie) wyjaśnienia, i dowiadują się, że *policya tu temu winna*, gdyż ona to wpłynęła na gospodarza, ażeby „Sokołom" odmówił gościnności u siebie. Zaznaczyć tu także wypada, że dzierżawca tej restauracyi, pomimo że jest Niemcem, okazywał wielkie oburzenie na gospodarza i policyą i oświadczył wobec tych druhów i gości, że uczynił to tylko ze względu na to, żeby uniknąć szykan ze strony policyi. Zarazem przyrzekł starać się o zniesienie tego zakazu a gdyby się gospodarz temu sprzeciwiał, to mu podziękuje za dzierżawę, gdyż nie życzy sobie, ażeby mu policya, wzbraniała gościć u siebie ludzi dlatego tylko, że mają tam należeć do jakiegoś polskiego towarzystwa, a przy tem są porządni i spokojni.

Otóż, kochani Czytelnicy, przyznacie to sami, że wobec takiego postępowania policyi trzeba naprawdę mieć nietylko zimną krew, lecz zarazem świętą cierpliwość i być prawdziwym Polakiem, ażeby nie uczynić czegoś nierozsądnego.

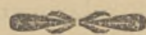
Lecz i tu jeszcze nie koniec na tem. Ażeby dopełnić miary, i zadać cios naszemu „Sokołowi", występuje przeciw niemu z całą energią i nienawiścią, nasz ksiądz proboszcz miejscowy. On też to w tym czasie t. j. 18-go marca w niedzielę, rano i przed południem na kazalnicy w kościele, starał się wszelkiemi środkami przekonać zebrany lud, że „Sokół" jest to bardzo niebezpieczne towarzystwo. A wzywając rodziców wspomniał, żeby nie dozwolili swoim synom należeć do tegoż towarzystwa. Dla tego też nie dziw, że przez to zwalczanie „Sokoła", wywołał wielkie rozgoryczenie pomiędzy ludem w naszej parafii.

A zatem, kochani Czytelnicy, nie dziwcie się, że wobec takiego położenia, gniazda sokole na Górnym Śląsku nie rozwijają się prawidłowo. A jednak już sam fakt, że istniejemy i nie upadamy wobec tak groźnego położenia, wymownie świadczy o naszej sile duchowej i moralnej. Nadmienić mi tu jeszcze wypada, że gniazda nasze składają się przeważnie z członków robotników, którzy ciężko pracują i są po największej części zależni od pracodawców.

A przecież pomimo tego wszystkiego gniazdo nasze istnieje już 8-my rok i dziś liczy przeszło 60-ciu członków. Zarazem gniazdo nasze przez cały przeciąg istnienia było bodaj jaknajliczniejszem i najwięcej czynnem w życiu sokolstwa na Górnym Śląsku. Dlatego też żywimy nadzieję, że i nadal nie upadniemy na duchu, a chociażby jeszcze większe gromy i burze w nas uderzały, nie zgnębią nas, lecz tem więcej będą nam podnietą do tem gorliwszej pracy na niwie sokolej.

Czołem!

Starszy członek „Sokoła".



„Straż."

W sprawie pisowni imion i nazwisk polskich ogłasza Sekcya IV, co następuje:

„Coraz większa jest samowola urzędników stanu cywilnego przy zapisywaniu imion i nazwisk, coraz śmielej rząd pruski łamie uchwały parlamentu i prawa rzeszy niemieckiej. Przypominamy zatem raz jeszcze sposób postępowania i prosimy społeczeństwo polskie, aby szanując swoją godność narodową, ściśle się naszej wskazówki trzymało. Skoro urzędnik stanu spisał protokół, należy go przeczytać, albo o wyraźne odczytanie poprosić lub wreszcie naocznie się przekonać, czy nazwisko żeńskie zapisano na „ska". Jeżeli urzędnik życzeniu temu zadość nie uczynił i nazwisko matki, żony, siostry lub córki z końcówką „ki" umieścił,

należy oświadczyć wyraźnie, iż odmawia się podpisu i zgłoszenie się cofa. Tylko wtedy można przez zażalenie w drodze administracyjnej spowodować poprawne zapisanie na „ka.“

Dalsze wskazówki otrzymają interesenci w biurze „Straży“.

* * *

Sekcya ekonomiczna „Straży“, upoważniona do zajęcia stanowiska przez Główny Zarząd, oświadcza w sprawie „sprzedawczykowstwa miejskiego“ co następuje:

„W zasadzie potępiamy wszelką sprzedaż nieruchomości miejskich obcoplemieńcom, ponieważ zależeć nam winno na tem, ażeby Polacy w miastach naszych zaliczali się do obywateli, płacących od nieruchomości znaczniejsze podatki, należących więc do wyborców I lub II klasy bądź do Rady miejskiej, bądź to do sejmu. Dalej tracą przez sprzedaż obcym częściowo utrzymanie nasi rzemieślnicy, których warunki zarobkowania stają się coraz trudniejszemi. W Poznaniu i większych miastach Księstwa wyrobiły się poniekąd stosunki odmienne, ponieważ wielka część domów jest objektem wolnego handlu, nabytych lub też wybudowanych często w celach spekulacyjnych. W każdym przypadku powinien sprzedający zważać na to, czy przez sprzedaż nie krzywdzi społeczeństwa. Jako krzywdę uważamy np. sprzedaż w obce ręce domów, położonych w nadzwyczajnie dobrem miejscu handlowem, lub też takich, w których się znajduje znaczna polska firma, sala do zebrań lub zabaw, specyalnie urządzone polskie przedsiębiorstwo przemysłowe i t. p.

Sekcya ekonomiczna „Straży“

* * *

Dowolny wybór notaryusza w sprawach hipotecznych.

Coraz częściej zdarza się, że ajenci banków hipotecznych zmuszają biorących pożyczki do załatwiania odnośnych czynności notaryalnych u notaryuszów specyalnie przez siebie wskazanych. Zwracamy uwagę na to, że interesent temu warunkowi nie potrzebuje się poddawać i ze swej strony notaryusza wybrać może, do którego sam ma największe zaufanie.

* * *

Wiec w Górznie (Pr. Zach.) odbył się w niedzielę za staraniem wielce ruchliwego starosty p. *Bardzkiego* z Wichulca. Tenże też wyjaśniał cele i zadania „Straży“, a p. *Lipiński* z Brodnicy obszernie wyłuszczył pogląd swój na obecne położenie nasze. Wiec odbył się bardzo poważnie, na członków „Straży“ zgłosiło się przeszło 100 wiecowników.

* * *

Wiec w Kruświcy zwabił mimo słoty około 400 żądnych żywego słowa zachęty i pobudki na salę pod Myszą wieżę. Zauważono niestety, że na wiecu tym inteligencya i okoliczne obywatelstwo świeciło nieobecnością. Za to włościanie o 3 mile drogi nie wahali się przybyć. Po przemówieniach starosty p. dr. Edwarda Trzcińskiego z Gocanówka i delegata „Straży“ p. Stef. Chociszewskiego przeszło połowa zapisała się w poczet członków „Straży“.

* * *

Wiec w Bobowie rozwiązał komisarz policyjny Maurael z Gdańska podczas przemówienia p. *Bielińskiego*, redaktora „Pielgrzyma“ z Pelplina w chwili, gdy tenże wspomniał o kolonizacyi. Czyżby p. M. w ten sposób chiał zaznaczyć swoje ubolewanie nad czynnością kolonizacyi? No, honorem ona nie jest dla państwa „wolności i kultury“.

Jeszcze czas odnowić przedpłatę na

„PRACĘ“

na bieżący nowy kwartał, gdyż poczta dostarczyć musi na żądanie zaległe numera.

Numery okazowe wysyłamy na żądanie bezpłatnie.

W obrębie państwa niemieckiego jest *każda poczta i każdy listowy tak na wsi jak też w mieście zobowiązany* każdego czasu do przyjęcia abonamentu, który wynosi na kwartał

tylko 1,25 fen.

Pod opaską wynosi prenumerata kwartalna na „Pracę“:

w Galicyi i Austro-Węgrzech:

3 kor.

we Francyi i w Belgii:

4 franki.

w Anglii:

3 szylingi.

w Ameryce:

1 dolar.

Kto sobie życzy zaabonować „Pracę“ pod opaską z powyżej wymienionych krajów i z Ameryki, niech nadeśle franko do naszej Administracyi powyżej wymienioną poszczególną sumę, a odbierać będzie regularnie od nas przez cały kwartał „Pracę“ franko pod opaską.

Nowi przedpłaciciele otrzymają początek bardzo ciekawej, na tle ostatnich wypadków w Królestwie polskiem osnutej powieści p. t.

„Nim wzejdzie dzień.“

bezpłatnie, jeżeli nadeślą na porto znaczek 10-ciofenygowy.

Wiadomości.

*** Szanownych Panów Korespondentów, Towarzystwa, Czytelników oraz wszelkich interesentów naszej „Pracy“ prosimy na tem miejscu, ażeby wszelkie uwiadomienia przesyłali nam do środy wieczora — albo najpóźniej na czwartek rano, gdyż inaczej uwiadomienia te się o cały tydzień spóźnią. Ze względu bowiem na znaczny nakład poczta żąda od nas, ażebyśmy doręczali „Pracę“ już w piątek do ekspedycyi. Szycie i oprawa pisma naszego wymaga z konieczności, że już w czwartek rozpoczynać musimy druk.**

* **Spór o Mieściska.** W ub. tygodniu wywiązał się dość niemiły spór w prasie naszej o sprzedaż przeszło tysiącmorgowego folwarku p. Marcinowi *Szmańdzie* z Kwieciszewa. Folwark ten sprzedał p. Marcin Biedermann. W „Dzienniku Kujawskim“ wystosowało bezimiennie kilku Polaków-kujawiaków zapytanie do p. Biedermanna, czy dostatecznie zabezpieczył ziemię tę na korzyść własności polskiej, ponieważ p. Szmańda, rzekomy szwagier Bukały, który zaprzepaścił Kawiary kolonizacyi, nie był dość pewnym kupcem. Wykazało się, że zapytującym w imieniu grona obywateli był p. dr. Edward *Trzciński* z Gocanówka, który też na odnośne zapytanie p. Biedermanna nazwisko swoje odkrył. Na zapytanie to odpowiedział p. Marcin Biedermann co następuje:

Na majątek Mieściska zgłosił się pomiędzy innymi także smutnej pamięci p. Bukała z Kawiar, który to majątek nabył od Banku Parcelacyjnego w Wrześni a następnie zaprzepaścił. P. Bukała obejrzawszy Mieściska, reflektował na takowe i nalegał o zawarcie kontraktu, poddając się pod wszelkie ograniczenia hipoteczne, uniewinniając się przytem, że nie on sprzedał Kawiary kolonizacyi, tylko został w pole wywiedziony przez indywiduum podsunięte etc.

Mając jednakże na uwadze smutną przeszłość reflektanta, nie mógłem się zdecydować na sprzedaż i zasięgnąłem wpierw opinii u wybitnych obywateli jak pp. Dr. Kusztelana, dyrektora Banku Związku spółek Zarobkowych, Józefa Kościelskiego, prezesa „Straży“, Dr. Jackowskiego, prezesa Centr.

Towarzystwa Gospodarczego na W. Ks. Poznańskie, w Banku Ziemskim, w Związku Ziemian etc. a mianowicie czy p. Bukale w szczególności, a w zasadzie wogóle można majątek sprzedać człowiekowi, który pośrednio czy bezpośrednio się raz już sprawie sprzeniewierzył, chociażby kandydat teraz poddał się wszelkim ograniczeniom hipotecznym etc.

Ponieważ zapatrywania były podzielone, przeto sięgnąłem wreszcie po rozstrzygające zdanie do Głównego Zarządu „Straży''. Odpowiedź była negatywną, przyczem pozostawiono mi swobodę działania. Nie korzystając atoli z tej swobody, ofertę p. Bukały — pod względem materyalnym zresztą wcale bardzo korzystną — pomimo wszystkiego stanowczo odrzuciłem.

Wkrótce potem zgłosił się do mnie jako reflektant na Mieściska p. Marcin Szmańda, właściciel 250 morgowego zasobnego gospodarstwa w Kwieciszewie. Nim jednakowoż przystąpiłem do kontraktu, zasięgnąłem wpierw referencyi przez biuro wywiadowcze oraz u znanego mi osobiście kupca zbożowego, czy i jakim majątkiem rozporządza p. Szmańda i jakim cieszy się kredytem, a dalej zasiągnąłem opinii o nim u miejscowego proboszcza ks. Usorowskiego w Kwieciszewie i kilku obywateli z tamtejszych stron, czy p. Szmańdzie jako człowiekowi i obywatelowi Polakowi ufać można, zwłaszcza, że chodzi tu o powierzenie mu kilkunastuset mórg polskiej ziemi. Wreszcie byłem też osobiście na miejscu, by się o p. Szmańdzie jeszcze ustnie poinformować i o jego dobrobycie naocznie przekonać. Wynik referencyi o p. Szmańdzie pod względem kredytu, jak i opinia co do moralnej wartości jego jako człowieka i obywatela Polaka brzmią pod każdym względem jaknajkorzystniej; wreszcie moje osobiste wrażenie w dostatnim a szczerze polskim domu p. Szmańdy — pozostało takie, że z szczerem wewnętrznem zadowoleniem przystąpiłem do kontraktu, zwłaszcza, że na domiar pan Szmańda z całą gotowością zgodził się chętnie na wszelkie możliwe ograniczenia hipoteczne co do ewentl. dalszej sprzedaży oraz na warunek wieczystego przedkupu i to majątku w całości jak i każdej parceli z osobna na korzyść Banku Ziemskiego w Poznaniu, które to ograniczenia zostały też w oddziale drugim księgi gruntowej zapisane.

Poznań, dnia 24-go marca 1906.

Marcin Biedermann

w firmie *Drwęski i Langner.*

Wynika stąd, że p. Biedermann postąpił sobie przezornie, i że Mieściska dla polskości są dostatecznie zapewnione. Nabywcy zasyłamy serdeczne „Szczęść Boże.''

* **Zlot Sokolstwa słowiańskiego** zapowiadają Chorwaci do *Zagrzebia* na dzień 8 września b. r. Zaproszeni mają być sokoli wszystkich plemion słowiańskich. Czesi i bracia nasi z Galicyi gotują się do gromadnego występu. — Dowiadujemy się z kół miarodajnych, że nasze sokolstwo z pod zaboru pruskiego dotąd zaproszenia nie otrzymało, nie ulega jednakże żadnej wątpliwości, że i ono zaproszenie otrzyma i z pewnością udział weźmie w tym wspólnym zlocie słowiańskim.

* **Sokoli a policya.** „Gaz. Ostrowska'' donosi, że prezes tamtejszego „Sokoła'' *Stefan Rowiński* otrzymał z policyi mandat karny na 15 marek lub 5 dni aresztu za to, że „kierował pochodem Sokoła'' podczas pogrzebu ś. p. ks. dziekana Śmigielskiego.

Zdaje się, jakoby policya ostrowska chciała „Sokoła'' koniecznie pogrzebać, bo co chwila, to zakaz, to kara. I tak już na sądzie mają „Sokoli'' spraw kilka. Podobno chcą im udowodnić, że „panie ćwiczące są członkami'', że „Sokół'' przyjmował uczniów na członków,'' „że urządził wieczornicę w zamkniętem kółku,'' „że uczniowie ćwiczyli równocześnie z druhami'' itd.

* **III Zjazd delegatów** *Związku Towarzystw polsko-katolickich robotników w Niemczech* odbędzie się w niedzielę dnia 6-go maja rb. po poludniu o godzinie 2-giej w Berlinie w lokalu p. Miedzińskiego przy Holzmarktstr. 11 z następującym porządkiem dziennym: 1) Zmiana ustaw. 2) Wnioski stawione przez Towarzystwa. 3) Obór nowych członków do Zarządu w miejsce ustępujących. 4) Wolne głosy.

Uwaga. Sprawozdanie roczne i specyalny porządek dzienny z wyjaśnionemi wnioskami każde Towarzystwo otrzyma drukowane 4 tygodnie przed zjazdem.

* **Zjazd delegatów Tow. Przemysłowych.** Z polecenia prezesa związkowego pana mec. *Czypickiego* z Koźmina odbył się w *Bydgoszczy* dnia 18-go marca rb. zjazd delegatów Towarzystw rzemysłowych na okręg bydgoski. Zebraniu przewodniczył ks. kapelan *Stankowski* z Potulic. Towarzystwa szubińskie i gąsawskie, nie należące jeszcze do związku, przyjęto na wniosek odnośny ich delegatów, jednomyślnie na członków związku Towarzystw Przemysłowych.

Po długiej wyczerpującej dyskusyi, w której każdy z delegatów, a mianowicie pp. delegaci Domagała, Małek z Szubina, ks. Stankowski, Dettlof z Nakła, Ignatowski, Czochralski z Kcyni, Tyblewski, ,Kamieński z Gąsawy, Korpolewski z Mroczy, Sosnowski i dr. Warmiński z Bydgoszczy zdanie swe i zapatrywanie na sprawę związkową wypowiedzieli i uzasadnili, postanowiono wszelkiemi siłami poprzeć ideę związkową i w tej myśli uskutecznić ścisłą organizacyą okręgową.

Sprawę wyboru zarządu do Izby rzemieślniczej odłożono do przyszłego zjazdu, również i co do następnego punktu porządku obrad, w sprawie kasy pogrzebowej delegaci zasadniczej nie powzięli uchwały. Natomiast postanowiono wszystkiemi siłami popierać „Przemysłowca'' starając się w poszczególnych Towarzystwach, by członkowie jaknajliczniej abonowali ten organ związkowy.

Do zarządu obrano: prezesem — dra Warmińskiego z Bydgoszczy, zastępcą prezesa — ks. kapelana Stankowskiego z Potulic, sekretarzem — p. Leona Grudowskiego z Bydgoszczy, skarbnikiem — p. Ludwika Sosnowskiego z Bydgoszczy, ławnikami — p. Małka z Szubina i p. Ignatowskiego z Kcyni, rewizorami kasy okręgowej — ks. kapelana Stankowskiego i p. Korpolewskiego z Kcyni.

* **Wybory do ciała „walnego zebrania''** w kasie chorych wspólnej No. 3 powtarzające się co cztery lata, odbyły się dnia 28-go z. m.

Kasa liczy przeszło 5000 członków i jest najliczniejszą w Poznaniu. Głosowano w 8-iu rewirach policyjnych; w każdym wyliczano po dwóch chlebodawców i 4 pracobiorców. Ponieważ kandydaci polscy zwyciężyli w 7-miu okręgach, zatem będzie nas w łonie „walnego zebrania'' 42, a Niemców 6. Tak więc i większość w zarządzie w przyszłem czteroleciu będzie polską. Agitacya była dość ożywioną. Mimo to wielu naszych nie spełniło swego obowiązku jak n. p. p. adw. Dr. Celichowski, który przecież mieszka obok swego lokalu wyborczego.

W rewirze drugim, na sali Koppego w St. Rynku usiłowali urzędnicy magistratu wywrzeć kontrolę nad swymi ludźmi, których sprowadzili w sporej liczbie 120—150. Ale lud w większej części poznał się na „nacisku'' i kandydaci nasi przeszli 158 gł. przeciwko 78. Nie spisala się naturalnie znowu Wilda, gdzie tak w chlebodawcach jako i pracobiorcach przepadliśmy, chociaż można było przeprowadzić swoich. *Z.*

* **Oświadczenie:** *Rawicz*, dnia 28-go marca 1906.

Szanowna Redakcyo!

Niektóre osoby posądzają mnie o napisanie korespondencyi z Rawicza zamieszczonej w nr. 12-tym „Pracy" i podpisanej moimi inicyałami. Jestem wobec tego zniewolony prosić Szan. Redakcyą o oświadczenie, że ja takowej do „Pracy" nie napisałem. Domyślam się pozatem jakiejś osoby z widocznym celem szkodzenia mi.

Szacunkiem
Jan Mrówczyński.

Od Redakcyi. Potwierdzamy, że p. Jan Mrówczyński wzmiankowanej korespondencyi istotnie nie pisał.

* **Z teatru.** Młode nasze pokolenie zapoznało się świeżo w teatrze z pięknym pięcioaktowym, efektowym dramatem romantycznym, znanym starszemu pokoleniu, bo już w 1842-gim roku, zatem przed 64 laty napisanym p. t. „Syn puszczy".

Fryderyk Halm, to pseudonim autora dramatu, słynnego swego czasu i znakomitego poety oraz dramaturga niemieckiego, barona Franciszka Józefa Münch-Bellinghausa, prawnika z zawodu, który ujrzał światło dzienne w prastarym podwawelskim grodzie.

Dramat przełożył na język polski Józef Grajnert; wiersz biały jest piękny.

„Syn puszczy" to wielka pieśń uczuciowej i czystej jak łza miłości.

Rzecz dzieje się w czasach starożytnych w Masalii (dzisiejszej Marsylii). Greka Mirona płatnerza, (p. Czerniak), ojca Partenji (panna Podgórska) biorą w niewolę mieszkańcy gór, złodzieje bydła, dzicy i barbarzyńscy Tektogasowie, będący pod dowództwem Ingomara (p. Maryański). Gdy żaden z przyjaciół ani też władza miasta nie chce Mirona wykupić z rąk wrogów, córka poświęca się za ojca, oddaje się dobrowolnie Tektogasom w niewolę i uwalnia z niej ojca. Los Partenji między Tektogasami jest znośny, gdyż dumna i piękna Greczynka potrafiła nawet jako niewolnica tak zapanować nad wodzem Ingomarem — synem puszczy — że ten dziki barbarzyniec do tego stopnia się w niej pokochał, że nawet u stóp jej złożył swój miecz zbrodniczy, wielokrotnie krwią niewinną zbroczony. Ingomar wyrzeka się wreszcie swego szczepu, daje wolność Partenji, opuszcza puszczę i towarzyszy kochance do Masalii, gdzie u jej ojca przyjmuje obowiązek czeladnika płatnerskiego, tam uczy się greckich zwyczajów, przekształca się z dzikiego barbarzyńcy na uczciwego Greka i w końcu pojmuje Partenję za żonę.

Benefisantka, znakomita heroina naszej sceny, wyszła z roli Partenji zwycięzko; dzielnie jej sekundował p. Maryański. Inni artyści wywiązali się ze swego zadania zadowalniająco z wyjątkiem p. Prochaski, któremu powierzono zupełnie dlań niestósowną rolę Alastora. Reżyserya była staranna a wystawa bardzo piękna.

Publiczność odwdzięczając się benefisantce za niejeden mile dzięki jej grze znakomitej spędzony wieczór, podążyła do teatru tak licznie, iż zapełniła całą widownią od góry do dołu włącznie miejsce przeznaczone dla orkiestry.

Pannie Podgórskiej wręczono bukiety, wieńce i kwiaty.

Niedzielne przedstawienie „Syna puszczy" miało takie same powodzenie jak sobotnie. *—ski.*

* **Benefis** *Stanisława i Maryi Czerniaków* odbędzie się w sobotę dnia 31 marca. Odegrana będzie komedya znakomitego komedyopisarza francuskiego p. T. Barriere'a p. t. *„Fałszywi poczciwcy."* Sumienna i skrzętna praca benefisantów na scenie naszej jest znana naszej publiczności od szeregu lat, to też spodziewać się należy, że sobotni benefis ulubionej i szanowanej pary artystycznej zgromadzi w teatrze tłumy widzów, którzy wypełnią widownią po brzegi, gdyż na to benefisanci zasłużyli sobie najzupełniej.

W niedzielę wieczorem: *„Dwaj malcy"*, sztuka przepełniona efektami i opatrzona treścią ciekawą o silnym kolorycie dramatycznym.

* **Koncert niedzielny** *„Towarzystwa Muzycznego"* nie zapełnił wprawdzie sali, ale ściągnął doborową publiczność, która z zaciekawieniem wyglądała chwili, w której ukażą się na estradzie państwo *Różyccy*, przedstawiciele nowego kierunku w dziedzinie muzyki na tle modernizmu. Pani Różycka, postać bardzo ujmująca, odznacza się nader dźwięcznym i silnym głosem. Wszystkie piosenki, kompozycye męża swego, a jedną teścia, odśpiewała przepięknym głosem sopranowym z zupełnem przejęciem się treścią, zawartą w poezyi jako też w melodyi.

Pan Różycki instrumentował akompaniament, a jako twórca melodye swe najlepiej interpretował; tak sami i części solowe, które publiczność z entuzyazmem przyjmowała. — Skrzydło koncertowe z fabryki K. Manda o głosie wspaniałym dostawił bezinteresownie p. *A. Drygas* w Poznaniu.

Genialnej parze wtorowała bardzo godnie *orkiestra* Towarzystwa Muzycznego pod dyrekcyą p. *L. Poniecklego.*

Reprodukcye jej zyskały ogólny poklask, przedewszystkiem „Wielka fantazya z Halki" Moniuszki, dalej solo na klarnet, takież na obój i waltornię.

Publiczność podziwiała z zachwytem grę naszej orkiestry i hucznemi oklaskami zniewoliła ją do naddatku. Było to zasłużone uznanie za postępy, jakie orkiestra w ostatnim roku poczyniła. Zaznaczyć tu należy starania nowego zarządu, który przez zaprowadzenie regularnych ćwiczeń i reorganizacyą orkiestry podniósł jej poziom intelektualny i moralny i doprowadził do tego stopnia, że dziś z zadowoleniem przysłuchiwać się można jej grze, czy w teatrze czy też na estradzie koncertowej.

* **Biuro personału żeńskiego** donosi nam: Szanownym Paniom i Panom pryncypałom donoszę, iż w biurze informacyjnem „Stowarzyszenia personału żeńskiego w handlu i przemyśle" są do umieszczenia pp. 3 książkowe, 3 kasyerki, 7 ekspedyentek 1 kantorzystka, 1 hafciarka i 1 dyrektryza. Panów pryncypałów prosimy uprzejmie a łaskawe zawiadomienie powyższego biura przy zapotrzebowaniu personału żeńskiego. Prosimy także o zgłoszenie się Pań potrzebujących pracy. „Mamy miejsca wolne" dla: uczennic do haftu i krawieczczyzny. Staraniem naszem będzie o ile możności obie strony zadowolić.

Marya Marchlewska,
przewodnicząca biura,
ul. Wilhelmowska 21
w składzie p. W. Jarosza.

* **Pleszew.** (*Spóźnione*). W niedzielę dnia 18 marca odbył się tutaj wiec w sprawie wstrzemięźliwości urządzony staraniem towarzystwa „Wyzwolenie". — Przebieg wieca był pod każdym względem zadawalniający. Sala hotelu Wiktorya zapełniła się o oznaczonym czasie publicznością, przeważnie z miasta. Z wielkiem zainteresowaniem wysłuchano wywodów p. dr. Likowskiego, który mówił o szkodliwości napojów alkoholowych, jako też ks. Mrugasa, który starał się wykazać, że w walce z alkoholizmem najskuteczniejszą bronią jest zupełna wstrzemięźliwość, czyli abstynencya. Po ukończeniu dyskusyi nad referatami przystąpiono do założenia miejscowego oddziału „Wyzwolenia." Na członków zgłosiło się około 60 osób.

* **Odczyty ludowe w Pleszewie:** W niedzielę dnia 1-go kwietnia o godz. 8-mej wieczorem wygłoszą odczyty na sali hotelu Wiktorya: Ks. Niesiołowski: O wpływie przyrody na rozwój umysłowy i fizyczny dziecka; Dr. Likowski: Z kraju faraonów.

Z odczytami będą połączone produkcye świetlnych obrazów.

* **Zaniemyśl.** Dnia 22-go z. m. odbyło się zebranie celem założenia „Rol-

nika“ w lokalu Banku Rólniczego. Z powodu, iż sprawa była już kilkakrotnie przedtem omawianą, nie było dłuższej dyskusyi i po przemówieniu ks. patrona Wawrzyniaka na temat: „Co jeden zdziałać nie potrafi, ogół tego dokazać może“, przystąpiono do zawiązania „Rólnika“. Do Zarządu wybrani zostali pp.: J. Czabański, kupiec; A. Domagała, organista; St. Nawrowski, młynarz, wszyscy z Zaniemyśla. Prezesem Rady Nadzorczej mianowanym został dziedzic dóbr Polwicy i Lucin p. K. Niegolewski, zastępcą p. W. Stępa, dyrektor Banku Rólniczego. Powołanie do życia „Rólnika“ witają gospodarze z Zaniemyśla i okolicy z zadowoleniem, gdyż byli dotychczas zmuszeni do dość daleko odległych miast jeździć, więc potrzeba podobnej instytucyi dawała się od dawna uczuwać. Życzymy jej jak najlepszego rozwoju. „Szczęść Boże!“

* **Z państwa kultury i wolności.** Z okolicy *Rogowa* donoszą do prasy naszej. W *Cotuniu* gospodarz p. *Iński* pobudował sobie *przed 10 laty* dom mieszkalny, nie posiadając konsensu. Naraz policya nakazała p. I. opuścić pomieszkanie. Gdy tenże do tego się nie zastósował, policya dom opieczętowała. Pan I. sprzedał więc dom gospodarzowi p. *Walczakowi,* który się do niego wprowadził. Ale policya nie zaspała gruszek i nakazała p. W. wynieść się z pomieszkania. Nakładano na niego kary pieniężne, a gdy i to nie pomogło, gwałtem p. W. z domu wyrzucono, a dom opieczętowano. P. W., starając się o konsens, przeszedł wszystkie instancye, ale wszystko nic nie pomogło. Ostatecznie udał się do cesarza, ale — bez skutku. — W państwie pruskiem psom wolno budy stawiać, ale broń Boże domy mieszkalne dla ludzi. Do czego nakoniec dojdziemy? Czy przyjdzie nam wreszcie mieszkać jak dzikusom w norach podziemnych? Jakoś się na to zanosi!

* **Zasłużona kara** spotkała niejakiegoś p. Piotra Gomolińskiego z Bruchu we Westfalii. Przyrzekł on jako członek komitetu polskiego agitować za kandydatami Polakami do rady miejskiej, sam jednak głos swój oddał na Niemca. Z powodu tego komitet polski ogłasza następujące *oświadczenie:*

Na życzenie szanownej Publiczności oświadczamy co następuje:

1) Zważywszy, iż publiczność słusznie żąda, aby Polak, który nie spełnił swego obowiązku przy wyborach do rady miejskiej nie należał do polskiego komitetu;

2) zważywszy, iż jako członek polskiego komitetu powinien był agitować za polskim kandydatem, aby tegoż przy dobrej agitacyi przeprowadzić, a pan Piotr Gomoliński poprostu posługiwał się kłamstwem względem członków komitetu a do tego nie oddał swego głosu na polskiego kandydata, tylko głosował na kandydata partyi niemieckiej, przeto komitet natychmiast wyżej wymienionego członka z komitetu wykreślił.

Aby umysły Publiczności uspokoić, oświadczamy to publicznie.

Z szacunkiem

za komitet polski

Jan Szynkarek.

My ze swej strony wyrażamy uznanie komitetowi polskiemu z Bruchu, że napiętnował publicznie wiarołomstwo p. G. Niech hańba ta innych odstraszy.

* **Berlin.** We wtorek odbyła się w kościele św. Piusa uroczystość *pierwszej komunii św.* 35 rodzin polskich zobowiązało się dzieci swoich do komunii św. nie posyłać, ponieważ proboszcz tego kościoła odmówił Polakom przemówienia do polskich dzieci po polsku — choćby w kilku słowach.

* **W Linden** *w Dahlhausen* zakładają dnia 1-go kwietnia nowe gniazdo sokole, które prawdopodobnie Wydział związku przydzieli do Okręgu X.

J. K.

* **Praga** (Czechy). Od tamtejszego towarzystwa „Klubu Polskiego“ odbieramy uwiadomienie, że walne zebranie tegoż odbyło się dnia 4-go marca. Do zarządu wybrano pp.: Hoffmanna Kaź. prezesem, Izdebskiego Józ. wiceprezesem, Mercella Zdzisława sekretarzem, Frankowskiego Piotra skarbnikiem, Hoffrichtera Wacława bibliotekarzem, Jastrzębskiego Antoniego gospodarzem. Zebrania klubu odbywają się w restauracyi u Vocelku, ulica Kussovata nr. 236.

Towarzystwu życzymy szczerze i serdecznie jak najlepszego rozwoju.

Od Redakcyi.

— *Panu M. W. w Poznaniu.* — Dokładnej informacyi udzielić nie możemy; udaj się Szan. Pan do organu Kółek śpiewackich „Lutnia“ w Warszawie.

— *L. S. 101.* — Naturalnie nie wolno. Życzymy powodzenia.

Polce na obczyźnie. — Artykuł nadesłany w sprawie strojów itd. zamieścimy dla braku miejsca w „Dziale kobiecym“ w następnym numerze. Dziękujemy za łaskawą pamięć.

Panu N. N. w miejscu. — Życzymy szczęścia i winszujemy odwagi.

„PRACA“
powinna się znajdować w każdym domu szczerze polskim.

Nadzwyczajny dodatek do nr. 13-go „Pracy.“

W sprawie szykan pocztowych.

MOWA
posła Dr. Alfreda Chłapowskiego
wypowiedziana w parlamencie
dnia 6-go marca 1906 r.
(*Własny przekład „Pracy“*).
(Dokończenie.)

Tak samo zachowuje się poczta wobec tytułów. Jeżeli Polak napisze na kopercie „adwokat“, nie zrozumie go urzędnik pocztowy; lecz wyrażenia, jak „Rezchenwald“ lub „Rehsenfalt“ doskonale dla poczty zrozumiałe, tutaj ortografia nie gra roli.

Słowo „adwokat“ przypomina mi biura tłomaczeń, które według zdania naszego zupełnie są zbyteczne, o ile chodzi o doręczanie polskich adresów w Poznańskiem i Prusach Zachodnich. Logikę ich wykazuje najlepiej słowo „adwokat“. Mam przed sobą adres skądinąd nie zaczepiony, który li tylko dla słowa „adwokat“ powędrował do biura tłomaczeń, gdzie przetłomaczono adwokat na „Rechtsanwalt“, a potem dopiero list został doręczony. Znajduje się natomiast inny wyraz polski zamiast adwokat, n. p. obrońca lub rzecznik, biuro na odwrót tłomaczy je na „Adwokat“.

(Wesołość.)

Oto logika owych biur tłomaczeń. Wymienione przykłady powinny właściwie wystarczać na dowód niepoczytelnego ich działania, lecz przytoczę jeszcze kilka dowodów, które zupełną zbyteczność biur tłomaczeń w naszych dzielnicach wykazują. I tak powędrowała do biura koperta z następującym napisem:

Wielmożny Pan St. Niegolewski
Ordynat
Niegolewo.

Biuro nie znało słowa „ordynat,“ co mnie nieco zadziwia, bo znaczy to tyle co „Majoratsherr“, znajduje się więc w każdym słowniku; zrobiono nad niem zwyczajnie znak zapytania i ujęto je w nawiasy, a potem dopiero powędrował list z powrotem do Buku i wręczony został p. Niegolewskiemu, pomimo, iż słowo parę dni temu nie zrozumiałe, przetłomaczone nie zostało.

(Wesołość.)

W innym przypadku biuro po prostu tylko poświadczyło, że dołączone przez nadawcę tłomaczenie jest poprawne; dopisano n. p. predykat: poprawnie tłomaczone, i doręczono list w parę dni potem. Hrabianka comtesse tłomaczono na „Komptessin“, pięknie to brzmi, przyznaję, lecz poprawnie nie jest. Nazwisko „Dobry“ przetłomaczono na „Gut“, ale list doręczony został po kilku dniach p. Dobremu.

(Wesołość.)

Materyał taki nadaje się więcej dla pism humorystycznych — cytowałem zeszłego roku Simplicissimus‘a, lecz wobec zeszłotygodniowej dyskusyi wolę dla pewności nie cytować pism humorystycznych — do omawiania z tego miejsca.

Muszę tutaj jeszcze dwa punkty poruszyć, na które szczególnie koledze Lattmanowi chciałbym zwrócić uwagę, a mianowicie, że biura polskich nazw miejscowości wogóle nie tłomaczą, i że pociągają za sobą niesłychane opóźnienia.

Otóż biura tłomaczeń posuwają się tak daleko, że wystarcza jedna głoska „n“ jak n. p. w słowie Parzęczewo, które wymawia się Parzęczewo lecz pisze się bez „n“, aby miejscowość uznać jako nie istniejącą. Mam tu także list do mnie z Kościana wysłany, który li tylko dla słówka „Jaśnie“, znajdującego się zresztą zupełnie skromniutko w lewym rogu koperty, potrzebował 4 dni na odległość 4 kilometrów,

(Słuchajcie! słuchajcie! u Polaków)

to znaczy po kilometrze na dzień,

(Wesołość)

czego chyba jak na epokę pary i elektryczności nie można nazwać wystarczającym rezultatem.

(Bardzo słusznie! — Wesołość u Polaków i w centrum.)

Atoli gdy chodzi o adresy hiszpańskie, włoskie, portugalskie, a nawet rosyjskie, natenczas są poznańscy urzędnicy pocztowi istnymi poliglotami, którzy mnie w podziw wprawiają swą erudycyą językową. Rozumieją prawie wszystko, rozumieją Senora, Dona, Condesa, Calla, nace, bom, wogóle co kto chce.

(Wesołość.)

Tu biuro tłomaczeń zbyteczne, lecz najpospolitsze słowo polskie zupełnie to samo robi wrażenie, jak gdyby list był zadżumiony. Wystarczyłoby m. p., gdyby urzędnicy znali tuzin lub półtora wyrazów polskich, któreby sobie w paru dniach przyswoili, a wszystko szłoby jak z płatka.

(Bardzo słusznie! u Polaków).

Nadając list, zawiera się poniekąd umowę z pocztą. Mam tu wprawdzie nie listy, lecz co ważniejsze przekazy pieniężne, co do których umowa przez to stała się zupełnie prawomocną, iż zostały odstęplowane i zapisane w książce i że wystawiono pokwitowanie. Przekazy te zostały po kilku dniach nadawcy zwrócone; ponieważ atoli już były odstęplowane względnie uszkodzone, nie mogli nadawcy na zwykłej drodze żądać zwrotu porta. Nie dziwię się wcale, że nie wnieśli zażalenia lub skargi, zwłaszcza, że tu chodziło tylko o drobną sumę 20, 50 i 60 fenygów, lecz sądzę, m. p., że poczta powinna także co do drobnych sum akuratnie postępować.

Że ludzie ci się nie użalili, nie dziwię się choćby dla tego, że znam pewien przypadek, gdzie pewien rządzca z mojej okolicy wniósł zażalenie, że poczta niesłusznie skazała go na zapłacenie 15 fen. porta (Strafporto); odebrał wprawdzie owe 15 fen. z powrotem, lecz musiał przecie zapłacić 20 fen. innych kosztów,

(wesołość)

tak iż, aczkolwiek z ciężkiem sercem, administracyę poczty o dalsze 5 fen. wzbogacił.

(Wesołość).

Jeszcze częściej zachodzą takie przypadki, gdzie poczta ofert w listach rekomendowanych i wartościowych lub w paczkach zwyczajnych wogóle nie przyjmuje, ponieważ po polsku adresowane. Pocóż więc istnieją owe biura tłomaczeń? Chyba, że administracya pocztowa sama tak mało ma do ich zdolności zaufania, że nie pozwala tłomaczyć im adresów, za które poczta pewną odpowiedzialność ponosi. Skoro doręcza się bez wszystkiego listy rekomendowane i wartościowe z napisami angielskimi, francuskimi i włoskimi, dlaczegoż więc polskie stanowić mają wyjątek?

Mam tu, m. p., zwłaszcza z zagranicy, liczne skargi na to, że nietylko przesyłki zwykłe, ale także rekomendowane, wartościowe itp. li tylko dla polskiego napisu zagranicę wróciły. I tak budził swego czasu w prasie warszawskiej wielką wesołość list rekomendowany, ponieważ poczta graniczna „Prusy Wschodnie“ jako „inconnu“ (nieznane) oznaczyła.

(Wesołość).

Wszakże słyszeliśmy zaledwie przed dwoma czy trzema tygodniami, że Prusy Wschodnie prym wodzą w całem państwie pruskiem, a tu poczta rzeszy orzeka, że są nieznane, że nie istnieją!

(Wesołość).

Czyżby administracya poczty takiem traktowaniem przesyłek naszych wzbudzić chciała pozór, że Polacy jak jeden mąż przepadli się pod ziemię? Byłoby to oczywiście tym panom z bractwa hakatystów — przepraszam, że towarzystwo to tutaj wogóle cytuję — bardzo na rękę, lecz tak źle jeszcze nie jest. Wspomniałem w tej chwili o hakatystach i mimowoli — nie wiem jakim dziwnym sposobem — wpada mi na myśl w tym związku pewne zdarzenie, służące na dowód, że poczta nie wzdryga się wysługiwać się, mówiąc słowami barona Hammersteina pospolitej policyi (Handlangerdienste der gemeinen Polizei zu verrichten). Przypadkiem tym, nawiasem mówiąc, zajmował się już p. sekretarz stanu, przypuszczam więc, że jest znanym.

Chodzi tu o pocztówkę, która jest zupełnie poprawnie adresowana, lecz przez pocztę za niewłaściwą uznaną została, ponieważ na odwrotnej stronie przedstawiony jest w swym stroju mieszkaniec Tatr, góral. Pocztówkę tę, nadaną przez dozórcę prow. zakładu obłąkanych w Dziekance pod Gnieznem, zwrócono, lecz już nie odnośnemu nadawcy Gozdowskiemu, ale jego władzy przełożonej.

(Słuchajcie! słuchajcie! u Polaków).

Władza przetrzymała pocztówkę 3 dni, a po 3 dniach zawezwany został G. do kancelaryi i tutaj wypowiedział mu w obecności kilku lekarzy z pocztówką w ręku, główny lekarz, dr. Kaiser miejsce.

(Słuchajcie! słuchajcie! u Polaków)

oświadczając: Kto nie z nami, ten przeciwko nom!

(Słuchajcie! słuchajcie! u Polaków).

Człowiek ów zawdzięcza więc li tylko tej karcie utratę stanowiska, której, jak już powiedziałem, nie wręczono nadawcy, lecz jego władzy przełożonej. Zajmował się tą sprawą adwokat Karpiński w Gnieźnie i wkradł mu się atoli drobny błąd, ponieważ utrzymywał, że urzędnikom nie wolno czytać treści pocztówki. To się nie zgadza i zarzut ten już p. sekretarz stanu jako nieuzasadniony odparł. Natomiast dziwię się bardzo p. sekretarzowi stanu, że nie uważał za właściwe dochodzić, dla czego karta Gozdowskiego jego przełożonym, a nie jemu samemu zwróconą została i sądzę, że było to obowiązkiem p. sekretarza stanu wdrożyć i w tym kierunku śledztwo. Skoro bowiem etatowy urzędnik, dotąd nie karany, który od 4 lat, tj. od czasu swego ustanowienia, prowadził się beznagannie, dla takiej przyczyny traci miejsce, sądzę, że niemiecka administracya poczty chyba na najcięższe potępienie zasługuje.

(Bardzo słusznie! u Polaków).

Dla tego przypadku wogóle nie ma wytłomaczenia. Mojem zdaniem nie ulega najmniejszej wątpliwości, że jedynie zła wola jednego lub kilku urzędników pocztowych pozbawiła go miejsca. A jeżeli teraz pokażę panom jeszcze kartę, na której tekst polski tą samą pieczęcią pocztową 8 razy umyślnie tak zasmarowany, iż treści tej karty wogóle odczytać nie można i jeżeli panom przypomnę wyżej wspomniane zajście z Dobroniem, musimy nabyć przekonania, iż poczta przez uprawianie polityki obniża wartość moralną swoich urzędników.

W takich przypadkach nie można, mojem zdaniem, tyle winić poszczególnych urzędników, ile raczej podyktowany z Berlina system.

Jeżeli wszelkie języki, z wyjątkiem polskiego, doznają należytego uwzględnienia, jeżeli język polski przedstawia się urzędnikom jako gwarę zohydzoną (verpöntes Idiom), jeżeli im się zabrania mówić po polsku, doręczać listów z polskimi napisami, nie można się dziwić, że zachodzą przypadki, które administracyę poczty w najwyższym stopniu kompromitują, jest to tylko sprzęt zasiewu p. Podbielskiego.

Zachętę zaś do tego rodzaju nadużyć czerpią urzędnicy pocztowi szczególnie z towarzystw kresowych, tworząc obok urzędników kolejowych ich główną podporę. Towarzystwa te zatruwają zapatrywania swych członków i podniecają nienawiść szczepową aż do ostateczności.

Administracya poczty nietylko pozwala urzędnikom swym należeć do owych towarzystw, lecz nawet cierpliwie znosi, że urzędnicy podają za pomocą ich, względnie pośrednictwem do p. sekr. stanu petycye, by odtąd przesyłki z napisami polskimi z komunikacyi wykluczył.

(Słuchajcie! słuchajcie! u Polaków).

Ani słowa, piękna to karność; owych ciętych panów należało się conajmniej zganić za taką „pobudkę“ (Anregung), oraz pouczyć, że przy uzasadnieniu petycyi trzeba wystrzegać się twierdzeń, niezgadzających się z prawdą. Uzasadnienie bowiem opiewa, że jeżeli w Niemczech doręcza się przesyłki z polskimi napisami, jestto jedyny tego rodzaju przypadek na całym świecie. Na owem posiedzeniu było obecnych mniejwięcej 12 urzędników pocztowych, ale żaden z nich nie zaprotestował, jak to na mocy sprawozdania w „Danz. N. Nachr.“ z 15-go grudnia 1905 sprawdziłem. Że twierdzenie to nie zgadza się z prawdą, udowodnił już na posiedzeniu parlamentu dnia 13-go marca 1902 mój zmarły poprzednik, poseł Głębocki i to stósunkami w Anglii, gdzie chyba cywilizacya conajmniej tak wysoko stoi jak w Niemczech:

„Angielska poczta nie żąda, by po angielsku adresowano. Każdy Anglik ma prawo adresować w języku polskim. Rząd angielski materyalnie i moralnie popiera towarzystwo ku pielęgnowaniu języka polskiego.

Oprócz tego adresują Waloni po walońsku, a poczta angielska utrzymuje dla nich osobnych urzędników.“

(Słuchajcie! słuchajcie! u Polaków).

Tak się przedstawia sprawa w Anglii, a pomimo, iż w Rosyi obecnie doręczane bywają listy z polskimi adresami, mimo, że w Austryi zawsze tak było, mimo, że poczty zagraniczne nie widzą w tem nic dziwnego, urzędnicy pocztowi ośmielają publicznie wypowiadać takie kłamliwe twierdzenie.

Nie przypuszczałem, że będę dzisiaj zmuszony mówić o dodatkach kresowych, o które kolega Lattmann potrącił. Załatwiam się z nimi pokrótce, wyrażając nadzieję, że wszyscy członkowie wysokiej Izby, objektywnie patrzą na tę sprawę, po tem wszystkiem com powiedział, nabrać muszą przekonania, że poczta datki kresowe uważa jedynie jako premie za zwalczanie Polaków i adresów polskich. Chciałbym przy tej sposobności jeszcze dać wyraz zdziwieniu, że kol. Lattmannowi wkradło się w aferę dodatków kresowych słowo „sprawiedliwość“ — tego już zupełnie nie rozumiem.

(Bardzo słusznie! u Polaków).

M. P. Takie postępowanie poczty, będącej w tak ścisłej styczności z ludnością, jak żadna inna władza, wzbudza wśród szerokich mas ludności głęboko sięgające wzburzenie i rozgoryczenie oraz wzbudza jak najzupełniej uprawnione przekonanie, że administracya poczty z biegiem czasu obniżyła się do roli generalnej agentury wszelkich towarzystw kresowych, pracując nad wykorzenieniem naszego języka ojczystego. Skoro jej się rola ta podoba, niechże ją zatrzyma, my zaś tem więcej cenić będziemy nasz język ojczysty, im sroższe spotkają go prześladowania, a spraw naszych także wobec administracyi poczty nie przestaniemy bronić dopóty sił nam starczy. Dla nas walka ta będzie zaszczytną, politykę kresową zaś hańba okryje.

(Brawo! u Polaków i na lewicy).

DZIAŁ POWIEŚCIOWY.

Nim wzejdzie dzień...

Powieść na tle wypadków Królestwa Polskiego 1905 r.

3) (Ciąg dalszy.)

Smutny wyraz oczu urągał lekkiemu tonowi, to też p. Zofię nie rozweseliły słowa syna, usta jej drgnęły kilka razy jak do płaczu, pocałowała go i odeszła szybko do salonu, jakby lękała się rozczulić. Postał chwilę oparty o ramę okna, ale, że pokojówka zaczęła hałaśliwie sprzątać ze stołu, zbliżył się i on do drzwi salonu. Tadeusz, siedząc na stole rozprawiał o dobrodziejstwach wewnętrznych, jakie mogą wyniknąć z klęsk Rosyi. Temat ten denerwował w tej chwili Wacława, wszedł więc do cichej, odosobnionej sypialni państwa Poręckich. Niebieska ampla rzucała blade światło na meble i łóżka z jasnego drzewa i odbijała się srebrną smugą w wielkiem lustrze szafy. Zamknął drzwi za sobą, pragnąc ciszy i odsobnienia; rzucił się w niski, miękki fotel, oczy przysłonił ręką i zadumał się głęboko. Nagle wydało mu się, że coś miękkiego, ciepłego otula go od nóg i prowadzi to ciepło coraz wyżej, do serca i do głowy. Miał uczucie, jak gdyby kwiaty dywanu, na których spoczywały jego stopy, zazieleniły się i zakwitły żywemi barwami, niosąc z sobą tchnienie wiosny, z jej porywami, siłą i nadzieją, budzoną przez każdą istność zrywającą się do życia. Zapragnął zobaczyć cud ten własnemi oczami, więc odjął rękę i nagle rozpromienił się jakby rzeczywiście podziwiał takowy w całej pełni. U stóp jego, tuż przy nim siedziała na dywanie Wanda, splótłszy ręce na kolanach. Oczy jej, śliczne szare oczy tonęły w jego twarzy z wyrazem niewypowiedzianej miłości.

— Duchna!

Odpowiedziała długą, gorącą pieszczotą złożoną oczami na jego twarzy.

— Kiedyś przyszła?

— Byłam tu, gdyś wszedł. Pragnęłam być chwilę samą.

— Więcżem ci przeszkodził.

Zrobił ruch, jakby chciał wstać, ale ona serdecznie, gorączkowo przygarnęła się do jego kolan. Długi czas siedzieli nie mówiąc słowa, porozumiewając się oczami, wymowniejszemi od ust.

— Duchna, — szepnął wreszcie. — Powierzam ci to, co mam najdroższego, moją matkę. Nie rozstawaj się z nią.

— Mama przyrzekła, że z Warszawy prosto pojedzie razem z nami do Męcin.

— Bądź odważną za nią i za siebie. Pisywać będę jaknajczęściej, ale może zdarzyć się okoliczność taka, że i tygodnie całe nie będę mógł napisać. Możemy znajdować się zdala od poczty, albo otoczeni przez nieprzyjaciół, to też niech moje milczenie nie przeraża was. Bo przysięgam wam, że po każdej bitwie zatelegrafuję; a gdybym zginął zobowiążę siostry, że zatelegrafują.

Ah, Wacku!

— Moje złoto, wszystko być może. O nie płacz, ja wrócę, czuję, że wrócę. Gdybym miał przeczucie, że poraz ostatni patrzę na ciebie serce chybaby mi pękło.

— Ta straszna zima, te długie wieczory, które przyjdzie nam przeżywać w trwodze i tęsknocie!

— Zato następnej zimy będziemy szczęśliwi. Dopiero przez porównanie z tem, co przyjdzie nam przeżyć w tym roku ocenimy doniosłość szczęścia w zakątku, na własnej ziemi. A nie przestaniesz mnie kochać, nie widząc tak długo?

Porwała się, uklękła, patrząc na niego z żalem i wyrzutem.

— Ah, Wacku, jak może ci coś podobnego przejść przez myśl!

— Ja też powiedziałem tak tylko, żeby cię podrażnić.

— Czyż mało cierpię!

— Przebacz, Duchna, widzisz, my mężczyźni nie mamy tej subtelności, która każe przeczuć, że czasem nawet taki niewinny żart ból sprawi drogiej istocie.

Wysunęła dłonie z jego rąk i zarzucając ramiona wkoło jego szyi, szeptała mu prosto w twarz.

— Ty mnie nie kochasz tak jak ja ciebie; ty przy mnie stawiasz matkę i sprawę narodową, a dla mnie jesteś droższym nad wszystkich i nad wszystko. Nie mogłabym żyć bez ciebie. Wacku, nie mogłabym. Więc też szanuj się, nie narażaj, dbaj o siebie, tak jak o mnie, bo twoje życie, to i moje życie. Ty! ty!

— Wanduś, Wanduś moja!

Oplótł jej kibić silnemi ramionami, złączyli się w długim uścisku. Nie były to wyproszone pocałunki narzeczonego, ani zażądane małżonka, ale pocałunki dwóch kochających się istot, popchniętych w swe objęcia całą potęgą serc gorących, nie liczące się z konwenansami, bo niezdające sobie sprawy, czyste, bo w ogniu miłości przetopione, dziecięce, bo nieświadome, niezapomniane, bo pierwsze, niezastąpione — bo niepowrotne.

— Gdzież to Wacek? — rozległ się pod samemi drzwiami głos Jana.

Rozdzielili się, teraz dopiero zmieszani i zawstydzeni. Wanda podniosła się, gorączkowo poprawiając rozrzucone koło twarzy włosy. Wacław przysunął się do niej.

— Dzięki ci, Duchna, wspomnienie tej chwili będzie talizmanem moim.

— Ucałował jej rękę i zbliżył się do drzwi, w których właśnie ukazał się gospodarz domu z Janem.

— Mój Wacku, rzekł ten ostatni, czas zabierać się na kolej..... A i Wandzia tutaj!.... Moi drodzy, pożegnajcie się, wypłaczcie, uściskajcie, jeżeli chcecie, bylebyście potem zdobyli się na odwagę nie roztkliwiania się przy pożegnaniu. Ciotka nie wiem jaką siłą panuje nad sobą, ale też najmniejsza rzecz może ją doprowadzić do wybuchu rozpaczy.

Wacław ścisnął rękę kuzyna.

— Żegnaliśmy się z Wandą i patrz oczy mamy suche, oboje...... i my panować umiemy.

. . . .

Na dworcu kolei ścisk i zgorączkowanie. Tłumy zalegają plac, cisną się na schody i do drzwi, których stojący żandarmi powstrzymują krótkiem:

— Tylko z odjeżdżającym wchodzi rodzina. Inaczej się nie wpuszcza.

Raz po raz podjeżdżają dorożki i powozy, wysiadają z nich mężczyźni, kobiety i dzieci, a między nimi zawsze jeden wojskowy w olbrzymim baranim kołpaku, zwanym „papachą“, a przypominającym bermyce grenadyerów na-

apoleońskich. Żandarmi salutują, wpuszczają przyjezdnych, za którymi wdziera się zawsze kilku ciekawskich, żądnych sensacyjnych scen, szczególniej, gdy łzy i rozpacz wystawione są na widok publiczny.

W sali III klasy tłok i zgiełk nie do opisania. W I i II elegancka publiczność zapełniła salę po brzegi przed godziną 11-tą. Oficerowie w bermycach stoją i przechadzają się w otoczeniu rodziny. Wszystkich oczy spoczywają na nich, obserwując z ciekawością. Nie znajdzie się między nimi oblicza tchnącego zapałem i dumą z godności obrońcy ojczyzny; zgnębienie, niepokój, bunt, oto uczucia malujące się na twarzach przyszłych wojowników, choć dziewięć dziesiątych z nich jest synami Rosyi, której potędze zagraża zuchwała Japonia.

Dzwonek.

Zamieszanie, zgiełk, potrącanie się wzajemne, bieganie za pakunkami, szukanie miejsc......

Na peronie tłum rozpada się znowu na grupy, które stoją przy wagonach i rozpoczynają się rozdzierające sceny pożegnania. Kobiety i dzieci zanoszą się od płaczu, mężczyźni łkają. Tu i owdzie rozlegają się spazmatyczne krzyki. Trwa to cały, straszny kwadrans, potem konduktorowie w najuprzejmiejszych wyrazach zapraszają podróżnych do wsiadania. Prośba ta staje się coraz bardziej natarczywą, wreszcie przechodzi w rozkaz. Zatrzaskują się drzwiczki, w każdem oknie pojawia się papacha, a pod nią twarz stara, lub młoda, zapłakana, lub spazmem wykrzywiona. Pod oknami coraz częściej cucą zemdlone kobiety, a odjeżdżający wyciąga rękę, ściska dłonie krewnych i przyjaciół. Pociąg zaczyna ruszać. Już nie płacz, ale krzyk i jęk przeważa wśród tłumu. Oddychając ciężko, posuwa się coraz szybciej potwór żelazny, uwożąc kilka tysięcy ludzi zostawiających za sobą łzy i sieroctwo, mających przed sobą — krew i śmierć.

IV.

Wieczór jesienny, zimny, wietrzny. Co chwila podmuch gwałtowny rzuca tumany liści w szyby okien Męcińskiego dworu, wstrząsa wieżyczką, powodując przykry zgrzyt żelaznej chorągiewki.

W stołowym pokoju, wkoło wiszącej lampy zebrały się wszystkie trzy panie z robotami, słuchając Jana, czytającego głośno gazetę:

— Słuchajcie, panie, co pisze Danczenko o jednym z chorążych japońskich: „Siły nasze przewyższały dziesięciorako nieprzyjacielskie; padł więc pierwszy szereg, padł drugi — zmniejszała się co chwilę gromadka małych rycerzy, otaczająca chorążego ze sztandarem w ręku. Wreszcie pozostał on jeden, widzi, że musi zginąć, a wówczas sztandar stanie się łupem nieprzyjaciela. Bez chwili namysłu, zręcznym ruchem odrywa materyą od drzewca, rozcina brzuch i wpakowywa ją głęboko we wnętrzności. Pada z okrzykiem tryumfalnym: benzaj!... Pochowają go ze sztandarem, męką jego okupionym, bo żadna zbrodnicza ręka nie ośmieli się sięgnąć po krwawy łup pod serce bohatera".

Wanda przycięła usta, przeciągając się ze zdenerwowania.

— I jak walczyć z takimi ludźmi? Jak walczyć?

Jan w tej chwili podniósł głowę nadsłuchując bacznie. W przyległym kredensie rozległ się ostry rozkazujący głos:

— Muszę iść do samego dziedzica.

— Zaczekajcie, powiem dziedzicowi, to wyjdzie, odpowiedział głos pokojówki.

— Tu nie ma ceregielów! Tu o wojnę idzie!

Pani Zofia porwała się z miejsca.

— Co, co! Boże, co się stało!

Ale drzwi otworzyły się już gwałtownie. Do pokoju wpadł posłaniec zziajany, spocony, pomimo zimna panującego na dworze, z torbą przewieszoną przez ramię,z której gorączkowo począł wydobywać jakieś papiery.

— Cóż to wpadacie z takim gwałtem? — upominał gospodarz.

— Wojna! — odrzekł groźnie, widocznie przejęty powagą swego posłannictwa.

— To, wiemy od ośmiu miesięcy.

— Mobilizacya! — dodał, rzucając na stół papiery urzędowe.

Jan rozkładał je lekko zaniepokojony. Wanda pochyliła się nad nim.

— Prędzej, prędzej! — wołał posłaniec.

— A cóżeście tak w gorącej wodzie kąpany, — odezwała się pani Orczyńska.

— Jeszcze mam przed północą objechać trzy wsie i dwa dwory.

— O co to idzie, Jaśku? — zapytała pani Zofia.

— Wezwanie, aby wysłać do gminy rezerwistów i konie przeznaczone do poboru.

— Ilu rezerwistów wzywają?

— Ze wsi 22, z dworskich 3.

— Którzy?

— Antoni Konar, Piotr Okraj, Walenty Nigocki.

— Biedny Pietrek! taki chętny, pracowity chłopak, — westchnęła pani Orczyńska.

— I takie śliczne ma dzieci, — dodała Wanda.

— Walka opłaczą dziewczęta w całej wsi, — dorzuciła p. Zofia.

Jan podpisał papier, oddał go wysłańcowi, a sam przeszedł do swego gabinetu dla wyszukania biletów koni poborowych. Wanda zaś poskoczyła do kuchni, gdzie Józia, pokojówka, siedząc na ławce zanosiła się od płaczu; oprzętarka i pomywaczka, trzynastoletnie dziewcze, płakały także. Wanda mimowoli uśmiechnęła się, słysząc ten tercet.

— A ty, Bronka, czego płaczesz?

Walka mi żal, panienko.

— A wy, Mateuszowo?

— Walka mi żal, panienko.

— I wam też. A przecież macie swego męża!

— Ale zawdy co Walek, to Walek, taki był przepcipny, wymyślny, sowizdrzał, że nie było dnia żeby mnie nie poszturchnął, albo miski z jadłem nie uchlupnął, albo pacynę jaką we mnie nie ciepnął.

— O mój Waluś! mój Waluś! — płakała Józia, — mówił, że w karnawale ślub ze mną weźmie, albo na wiosnę!

— O mój Walek, mój Walek, — piszczała Bronka, — mówił, że się ze mną ożeni, jak mu pierwsza kobieta zemrze!...

W tej chwili wszedł z dworu do kredensu Pietrek Okraj. Był zmieszany, zaniepokojony, zdjął czapkę i pocałował Wandę w łokieć.

— Panienko, czy to prawda, że mobilizacya? mają brać wszystkich z 1878 roku?

— Tak, mój Pietrku.

— To i mnie!...

— Wzywają ciebie... dziedzic podpisał się, że przyśle cię do gminy jutro.

Pietrek zatoczył się i oparł plecami o drzwi.

— Jezu! Jezu! — szeptał zbielałemi usty.

— No, mój Pietrku, nie desperuj zaraz; będziesz do-

piero przedstawiony komisyi rewizyjnej, może cię nie wezmą.

— Nie wezmą mnie! nie wezmą mnie! Oni by nie wzieni! Psubraty! Nie wzieni by, żeby im w łapę ze sto rubli wszczynić, ale biednego chłopa, co ino te dziesięć palców do roboty ma, wezmom i pognajom na oną wojnę, na oną okrutną wojnę.

Ukrył twarz w dłoniach i płakał.

— Żebym się lepiej tu oto w ziemię zapadł, żeby mnie niespodziana śmierć zagarnęła tej nocy!

— Pietrek, Pietrek, nie wywołuj! W imię Ojca i Syna tfu! tfu! na psa urok! — wołała Mateuszowa.

Drzwi się otworzyły gwałtownie, do kredensu wpadła Pietrkowa, ładna, rosła kobieta, o prawdziwie brzoskwiniowej cerze. Widząc płaczącego męża i ona odrazu wybuchnęła płaczem i do kolan Wandy przypadła.

— O czegóżem ja doczekała! panienko najmilsza! Wezmom mi go! i już go nie obaczę! A taki dobry był, nigdy mnie nie skrzywdził, ręki na mnie nie podniósł, a tero wezmą mi go, żeby go Japony usiekli, abo choróbska i nędza w onym dalekim kraju stoczyły.

— Nie lamentujcie tak, Piotrowo, — mówiła Wanda, sama z trudem łzy hamując. Pan Bóg dopuścił na was krzyż, ale jest miłosierny, to w swoim czasie i pocieszy.

— O moja Andziu, żono moja, nie spodziewaj ty się tej pociechy, — zawodził Pietrek. — Za dobrze nam razem było, to się i odmieniło, wezmom mnie i zabijom, a ty tu zmarniejesz z dzieciskami naszemi.

— O moje dzieciny! O moje sieroty biedne, — krzyczała Piotrowa.

Do kredensu weszło znowu dwóch ludzi. Jeden z nich drobny, chuderlawy, o lnianym wąsie, drugi przystojny parobczak z kędzierzawą ciemną czupryną.

— Antek, Walek! — wołała Mateuszowa, — w sam raz przyszliście tu, dowiecie się, że was biorą te psubraty.

— Ja przyszedł samego dziedzica o to zapytać, — rzekł Antek, — drżącemi usty.

— Tak, mój biedny Antku, biorą i ciebie i Walka.

Antek za głowę się schwycił.

— Stojało w papierze? — zapytał, przysuwając do niej swą twarz trupio-bladą.

— Tak jest.

Postał chwilę jak rażony piorunem i nagle zaczął krzyczeć nieludzkim głosem.

— Nie pójdę! nie pójdę!

— Cichaj! nie drzyj się tak, — wołała Mateuszowa.

Józia tymczasem przyciągnęła do siebie Walka i płakała przytuliwszy głowę do jego pasa. Chłopak był także wzruszony, usta mu drżały, ale nadrabiał miną.

— Jużby też Pan Bóg nijakiego zmiłowania nad dziewuchami nie miał, kiejbym ja miał zginąć. No, nie płacz, głupia, wrócę ja z tej wojny i każdej, co się z nią mam żenić, małego Japona na pamiątkę przywiozę.

— Oj ty sowizdrzale, ty byś umierał i jeszcze byś się śmiał, mówiła przez łzy Józia.

— A juści, mam komu uciechę robić mojem smuceniem! Jak mnie Japon będzie chciał karabinem pchnąć, to mu pótąd ozór pokażę, to on się zdziwi i cofnie, a ja go wtedy czopom nakryję, bo to maleńki naród ma być, nam po kolana.

— Panienko Najświętsza, — szlochała Piotrowa, co ja biedna z trojgiem dzieci poradzę.

— Gminy będą płacić stałą pensyę żonom, idących na wojnę, — rzekł Jan, który wszedł przed chwilą.

— Do wszyćkich ciężarów jeszcze nam to przybędzie, — odezwał się Noszczyk, stary gospodarz, stojący dotąd na boku.

— I to wszystko dla tej wojny, która nam potrzebna jak dziura w moście, — dodał Pietrek.

— Że się Moskalowi chce nowe ziemie mieć, to my mamy krew przelewać, — dodał Walek.

A Antek, stojący dotąd jak obłąkany, powtórzył raz jeszcze z mocą: — Nie pójdę! — i wybiegł z kredensu. Powionął go chłód dojmujący, ale on nie nasunął nawet rozpiętej koszuli, nie włożył czapki, którą miał w ręku i szedł przed siebie jak błędny, szepcząc uporczywie: nie pójdę! nie pójdę! Nagle jakieś ramiona kobiece otoczyły go wśród tej ciemnej nocy i zarazem głos miękki, serdeczny przemówił miłośnie:

— Antoś! Antoś! gołąbku mój. Prawda — że to, biorą cię? biorą?

Gwałtownym ruchem usunął się do jej nóg i obejmując kolana, szlochał gwałtownie.

— Chcą mnie wziąść! chcą mnie wziąść! ale ja ni pójdę! Niedoczekanie ich!

— Nie pójdziesz?

— Nie pójdę!

— A co zrobisz?

— Ucieknę.

— Uciekniesz?

— Tak, za granicę.

— Ja z tobą.

— Nocka ciemna, drogę znam!

— Pójdę z tobą, Antoś. Po co bym tu ostała? Żeby mną poniewierali ludzie, żeby mnie Kazimierz zabił, jak wróci, przysiągł się, że zabije. Może Bóg miłosierny dozwoli, że jego wprzód zabiją, ale jakby wrócił, zatłucze mnie, ja go znam. A potem, tyś na mnie urok rzucił, czy co! Miałam ci ja lepszych, Wawrzek był chłop jak sosna, Naszczyk podarków siłę dawał, Józef lizał się jak psiak, ale ja ich ino parę dni lubiała, a ciebie polubiła tak, jak nie można mocniej i to już tyle miesięcy trwa i już mnie nie opuści, to i ja cię nie opuszczę i pójdę z tobą do Prus i jeszcze zapracuję na ciebie, bo wiesz, że robotna jestem.

Wilgotna ziemia, na którą upadł, przejęła go zimnem do kości, więc podniósł się i wsparłszy plecami o drzewo, szeptał.

— Na tę wojnę iść, na tę poniewierkę! na śmierć pewną! Nie kce! nie kce! wolę uciec. Na chleb wszędzie zapracuję. A czego mam tu żałować. Toć mi ani ziemi, ani chaty. Ty pójdziesz ze mną... a ona, niech ostaje! niech ostaje! niech ją pioruny starą, po co się ze mną młodym żeniła. Chłopaka mi nie żal, głupi jest i głupi ostanie, ojca to nawet nie rozeżna, matki się ino czepia, to swoją matusię cacaną będzie miał.

— Nie ma się czego namyślać, kusiła Kazimierka. Idź do chałupy, nie mów babie nic, nawet palta lepszego nie bierz, ino pieniądze z kufra weź, ale tak, żeby nie widziała.

Szli w stronę czworaków.

— Dziecioka ostawię, abo mu tu krzywda będzie przy matce, — mówił jakby tłomacząc się sam przed sobą.

— Co ma mu krzywda być! A da Pan Bóg doczekać, to i ja tobie chłopaka dam i nie głupiego jak ten.

Byli już tuż przy czworakach, gdy Kazimierka schwyciła Antka za rękę i zbliżając twarz tuż do jego twarzy, szepnęła:

— A weź i tej paszport.

— Na jednym my zapisani.

— To dobrze, nie zapomnij wziąść.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Dwudziestoośmioletnie wygnanie

czyli

ucieczka moja z żoną i dwojgiem dzieci.

Zdarzenie prawdziwe z 1835 r.

9)

(Ciąg dalszy.)

Kiedy więc wchodzącą panią Maryą spostrzegłem, poszedłem do niej, i wziąwszy ją za rękę, do znanego nam już gabineciku zaprowadziłem. Tam w głębokiem zamyśleniu siedziała Albina; głowa jej na ręku wsparta, i palcami zasłonięte oczy, nie dały jej spostrzedz przyjścia naszego.

Marya zobaczywszy gabinet, krzyknęła:

— Boże! co to jest?!

— Nic to, nic, kochana Maryo — zawołałem — za chwilę dowiesz się o wszystkiem, bądź tylko tak dobrą, siadaj tu na tem krzesełku.

Strwożona Marya niespokojnem rzuciła naokoło okiem, jednem spojrzeniem objęła wszystko i zrozumiała, że tu w tem wszystkiem coś ważnego się ukrywa. Oprócz powyżej opisanych na stole przedmiotów, spostrzegła jeszcze i parę pistoletów. Na widok ich wzdrygnęła się i spojrzała na Albinę. Oczy ich spotkały się, ale kiedy w tych oczach i całej twarzy spostrzegła malującą się i rozlaną boleść, wstrzęsła się i zbladła jak ściana, i kiedym jej powtórnie krzesło pokazał, ona drząc cała, usiadła na niem, ale jak na rusztowaniu.

Nie chcąc poczciwej Uralki utrzymywać w tej męczącej niepewności, wziąłem list ze stolika, i przedstawiając jej go przed oczy, przemówiłem do niej:

— Oto jest przyczyna, dla której cię kochana Maryo prosić kazałem. Przedewszystkiem winienem cię przeprosić za mimowolny przestrach, jaki ci widok tego gabinetu sprawił, a który wszakże dla ciebie nie był przygotowany. Magdusia, która tu tylko co przed tobą była, wykonała przysięgę, że objawionej tej tajemnicy nikomu nie odkryje. Ty zaś, jako istota wyższym pojęciem obdarzona, przysięgać nie będziesz, ufność bowiem w twojem charakterze i dobrem sercu, mamy tak wielką, że najmniejszej z twojej strony nie obawiamy się zdrady. Żeby zaś czynem poprzeć naszą o tobie opinię, objawiam ci, że w tym liście jest napisano, to jest, że ja nie mogąc dłużej przenieś widoku cierpień Albiny, rzucam się w Ural. Rzeczywiście zaś mam zamiar schować się w domu i czekać chwili, w której oboje z Rosyi wyjechać będziemy mogli. Dziś w nocy list ten będzie oddany atamanowi, jutro więc z rana całe miasto będzie poruszone, i w Uralu najstaranniejsze zaczną się poszukiwania. Uważ więc dobrze kochana Maryo, ile cię kochamy i jak dalece ci ufamy, kiedy mogąc cię równie jak i całe miasto w błąd wprowadzić, względem ciebie tylko jednej, nie dopuszczamy się tego. Wypada zatem, abyś tajemnicę tę u siebie zachowała i nikomu w świecie jej nie powierzyła, jeżeli nie chcesz, aby te oto pistolety zakończyły moje, i drogiej Albiny życie.

Marya, gdym ja to mówił, słuchała z uwagą, i stopniowo wracała do spokojności. W miarę zaś, jak słowa moje tajemnicę jej wyjaśniły, zbierało jej się na płacz. Lecz kiedy przy ukończeniu słów moich pistolety jej pokazałem, ona nie mogąc utrzymać łez gwałtem do oczu się jej cisnących, rzuciła mi na szyję, i rzewnie płacząc, dziękowała za zaufanie, jakie w niej położyliśmy. Odemnie przeszła w objęcia Albiny, i szlochając całowała ją. Nakoniec upadła przed nami na kolana, i obejmując nasze nogi, płakała, dziękowała i zaklinała, aby jej nie opuszczać.

— Weźcie mię z sobą! — krzyczała — ja z wami wszędzie! chcę widzieć waszą ojczyznę, która odtąd i moją będzie... Mnie nic bez was po życiu, ja z wami wiecznie! z wami! i z wami wiecznie być pragnę!

Takie i tympodobne słowa i wymagania nie mogły nas nierozczulić. Podnieśliśmy ją więc z tkliwością, i pomiędzy sobą sadzając, uspakajali jak mogli.

Gdy przeszły chwile pierwszego uniesienia, ja zająłem się dawaniem obszernej instrukcyi, jak ma sobie nadal postępować, jak w towarzystwach pomiędzy swoimi rodakami powinna ubolewać nad opłakanym stanem Albiny, jak o mnie ma się odzywać z największą pogardą, wystawić moją niewdzięczność i dowodzić, że moim na dnie tylko piekła wylęgłym projekcie samobójstwa, zgubiłem tę, którą powinienem był uszczęśliwić. Zaleciłem jej przytem najmocniej, ażeby pewnej osobie tej tajemnicy nie powierzała.

Marya słuchała mię pilnie i z uwagą ,w kwestyach wątpliwych żądała objaśnienia i upewniwszy nas, że możemy kompletnie spuścić się na nią, dodała, że ostatnie moje zalecenie, aby przed pewną osobą taiła, było zbyteczne, powiedziała albowiem:

— Znam ja jego dobrze, i jestem pewną, że on nietylko was, ale i mnie by poświęcił, byleby mu wstążkę do boku przypięto. Głodne wilczysko spotkanemu jagnięciu nie tyle by zaszkodziło, ile odkrycie tej tajemnicy przyniosło by jemu pociechy.

Te ostatnie słowa tyczące się jej męża, do mnie wyłącznie były powiedziane.

Dotąd smutna ta scena, zamieniła się w wesołą. Marya z okazanego jej zaufania była uszczęśliwioną, ile my z ułatwienia najważniejszych trudności. Powiernica nasza mówiła nam, jak nazajutrz jeżdżąc do wszystkich swoich znajomych domów, opowiadać będzie, że tego co się zrobiło, dawno się po mnie spodziewała, albowiem w domu naszym często bywając, widziała mnie do wykonania tego dzieła skłonnym. Z właściwą sobie wesołością i pojęciem mówiła nam, jak udając się za najzacietszą moją przyjaciółkę, wystąpi publicznie z największą złośliwością, z tą do mnie nienawiścią jaką od dawna w sercu swojem żywiła; jak uczęszczając do nas, znosiła moją obecność jedynie tylko dla Albiny, nie mogąc cierpieć mojego z nią prawdziwie sołdackiego obchodzenia się.

Wszystko to prócz innym, miała opowiadać swemu mężowi, którego znana całemu miastu nienawiść do Polaków, żony zaś jego mniemana, miała być rękojmią, że ludzie ci z pod ziemi by nas dostali byle tylko swojej nienawiści zadosyć uczynić mogli.

Żona moja, tym dobrym Uralki pomysłem rozweselona, szczęśliwą przewidywała przyszłość, i również dowcipkowała z roli, jaką jej jutro wobec urzędników mnie poszukujących odegrać przyjdzie.

Ja zaś stosując to wszystko do ówczesnego czasu, i usposobień znanych mi osób, opowiadaniem swojem, że jak to wszystko się uspokoi, to w charakterze posłańca tamtego świata, jednych do poprawy, drugich do pokuty, tym przestrogi a tamtym rady, innych nakoniec przed sąd Boży powołując, straszyć w nocy będę — roześmiałem je obydwie.

Słowem, czy to pochodziło z jednostajnego życia, gdzie ciągle o cierpieniach mowa nam się naprzykrzyła, czy że uchwalony projekt nową przyszłością i nowem życiem nas zajmował, czy wreszcie, że w nas trojgu usposobienie do wesołości było niezwykłe, czy nakoniec, że ułatwiwszy najważniejsze przeszkody, o reszcie dobry skutek rokowaliśmy, dosyć, że siląc się na tysiączne koncepta i żarty, bawiliśmy się wszyscy troje bardzo wesoło, nie przewidując niestety! że po tej miłej pogodzie nastąpi burza, jak to nietylko w naturze, ale i w życiu człowieka trafiać się zwykło.

Po odejściu Maryi, Magdusia powiedziała mi, że Lewiński chce się ze mną widzieć, i czeka w przedopokoju.

Lewiński, był to stary nasz wiarus, w tymże samym co i ja batalionie służący, którego jako niezdolnego do służby frontowej, wziąłem do usług, i za niego płaciłem. Prosił on mię, abym mu na wesele iść pozwolił. Jakiś tam sołdat moskiewski żenił się wtencxas.

Prośba ta jego, była bardzo do moich planów stosowną; właśnie bowiem nad tem rozmyślałem, pod jakim pretextem na całą noc wysłać go z domu. Usłyszawszy więc jego żądanie, powiedziałem:

— Idź, a pamiętaj, służ pani wiernie, ona ci, choć mnie w domu nie będzie — ciszej dodałem — obficie wynagrodzi.

Ośmielony tą moją poufałością Lewiński, tymże samym zapytał mnie tonem:

— A gdziesz to pan pójdzie?...

— Ja... ja... nigdzie... chyba do piekła — udając zasmuconego, odpowiedziałem z westchnieniem.

Wróciwszy do Albiny, popatrzyłem na zegarek, była już 10-ta godzina wieczór. Wziąłem płaszcz i wyszedłszy, błąkałem się po ulicach. Z kilkoma znajomymi umyślnie rozmawiałem, do dwóch czy trzech domów wstąpiłem, i tam w krótkich rozmowach udając okropnie zasmuconego i do

śmierci wzdychającego, dwuznaczne i tajemnicze odpowiedzi dawałem; i tak wszystko urządzić starałem się, ażeby nazajutrz, gdy wiadomość o mojej śmierci po mieście się rozejdzie, ci wszyscy, którzy ze mną dziś rozmawiają, przypomniawszy sobie moje słowa, ich znaczenie teraz dopiero pojęli, i mając niejako otworzone oczy, wyrazy moje pomiędzy sobą powtarzali, przekręcali i jak to w podobnych bywa wypadkach, czynili nad tem uwagi i komunikując je drugim, że ja nie żyję, moralnie byli przekonani.

Noc była jasna, śniegu niewiele jeszcze było, mróz zaś do ośmnastu stopni dochodził; ja chodząc po ulicach, podszedłem do mieszkania atamana, i spostrzegłszy, że w pokoju jego ogień jeszcze nie zagasł, wróciłem do domu i czekałem chwili, w której on spać się położy. Dwa razy jeszcze wychodziłem z domu, ale naprożno; nareszcie po godzinie dwunastej, światła w pokoju atamana na piętrze nie było, na dole zaś w kancelaryi jego domowej, zwykle świeciło się po całych nocach. Gdym to zobaczył, wróciłem do domu.

Lecz tu, pomimo całej mojej energii, nie byłem panem siebie. Dostałem wewnątrz tak silnego drżenia, twarz moja zrobiła się tak bladą, że biorąc list, trzęsłem się jak liść osikowy. Usiłowałem przewyciężyć siebie, i starałem się głównie ukryć przed Albiną moje wzruszenie, lecz darmo! im więcej chciałem być spokojnym, i powierzchownością moją jej nie straszyć, tem więcej usiłowania moje były bezskuteczne. Spostrzegła to, i rzucając mi się na szyję, z rozpaczą zawołała:

—O Boże! co ci się stało!!

I nie czekając odpowiedzi, ciągnęła dalej:

— Ja nie chcę mój drogi!... ja odstępuję od wszystkich naszych zamiarów, jeżeli wykonanie ich ma ciebie tyle kosztować... jak mię kochasz mój mężu, zniszcz ten list!... wszakże go jeszcze nie oddałeś... żyjmy spokojnie... czekajmy Może Bóg dobry zlituje się kiedyś nad nami; na co nam jeszcze powiększać nieszczęście nasze!... Ty wiesz, że i ja równie z zapałem chwyciłam się tego projektu, którego wykonanie zdawałoby się łatwem... Mój drogi! mój aniele! zaniechajmy go teraz, ja widzę, że on wpływa na ciebie więcej, aniżeli wyobrazić to sobie mogłam! Jeżeli nam się uda, ja będę miała sobie wiele do wyrzucenia! Ja tego nie przeżyję!...

— A dziecko? — przyszedłszy nieco do siebie, grobowym mruknąłem głosem.

— Dziecko! — westchnąwszy powtórzyła — prawda, mój drogi! okropnie nas Bóg doświadcza... widok cierpienia twego, wybił mi je na chwilę z głowy... w pierwszem uniesieniu jedno tylko miałam na celu, to jest: abyś ty był spokojny, ale widzę, że rzeczywiście przez ogień i wodę potrzeba nam będzie przechodzić!

— Tak jest, moja najdroższa! — odezwałem się — jeżeli czujesz, że roli, jaką ci odegrać będzie potrzeba, nie wypełnisz, namyśl się!... jeszcze czas, bo równie nie chcę, abym ci podsycaniem męstwa i wytrwałości, stał się zupełnego naszego nieszczęścia przyczyną!

— O! nie mój drogi, ty wiesz jak ja na wszystko jestem gotową! kto tyle cierpiał, nic mu już do obawy nie pozostaje, chyba śmierć jedna, ale i ta, byle w twoich objęciach i z tobą razem, byłaby nojpożądańszą moją nagrodą.

— A zatem — przyciskając ją czule do piersi, rzekłem — bądź zdrowa! — i za drzwi wybiegłem.

— Wincenty! Wincenty! jak mię kochasz, wróć się na moment! — krzyknęła gwałtownie — czy nie myślisz ty się doprawdy topić? — patrząc mi w oczy, z niespokojnością zapytała — bo przyznam ci się, że masz taką postać, jakbyś mię chciał wieczną sierotą zostawić.

— Nie — odpowiedziałem.

— Jak mnie kochasz, powiedz prawdę.

— Jak ciebie kocham, tak nie myślę o tem.

— Słowo honoru?

— Słowo honoru.

— No, idźże więc z Bogiem — całując mnie, krzyżem świętym przeżegnała.

Wyszedłem.

Na mnie był płaszcz szaraczkowy, szopami podszyty. Zarzuciłem go na ramiona i zapiąłem pod szyją w sposób, że kołnierz stojący zasłaniał nietylko twarz moją, ale i całą odzież pod nim będącą. Płaszcz ten z furażerką wojskową, wzrostem mojem i całą podstawą, robił mnie podobnym do kapitana Jesielewskiego, w tym samym batalionie co i ja służącego. O tem podobieństwie wiedziałem i ja, bo mi to koledzy często mówili. Tak idąc, wszedłem na wielki korytarz ogromnego domu, w którym mieszkał ataman.

Żołnierz na szyldwachu w korytarzu stojący, biorąc mnie za wspomnianego kapitana, pomimo tak spóźnionej pory, zprezentował przedemną swój karabin. Odkłoniwszy się mu obyczajem wojskowym, przeszedłem mimo niego i wszedłem do kancelaryi.

W pośrodku obszernej sali, postawiony był ogromny stół, papierami, księgami i rozmaitemi aktami założony. Na nim w pogiętym, blaszanym lichtarzu, dogorywał kawałek łojowej świecy, knot u niej dawno nie objaśniany, rzucał niepewne światło, niedozwalające rozpoznać będących tam przedmiotów. Mimo jednak tej ciemności, zauważyłem kilku stróżów na podłodze pokotem śpiących. Urzędnik zaś, czyli dyżurny, z opartą na rękach na stole głową, chrapał spokojnie. Przyjście moje obudziło go, albowiem zerwał się raptem, i stanąwszy w postawie wojskowej, wyciągnął się jak struna.

— Jak się nazywasz? — zapytałem go po rusku.

— Mazanów — odpowiedział.

— Ataman w domu?

— Spi.

— List ten jutro rano oddasz mu w własne ręce, teraz zaś nie budź go, rozumiesz?

— Rozumiem, panie.

— Zapadła klamka! — wychodząc, pomyślałem sobie — rad nierad, trzeba kończyć. Mógłem wprawdzie list ten jeszcze odebrać, ale musiałbym, albo przybierając ten sam ton i powagę, nakazać dyżurnemu milczenie, co było niepodobieństwem, bo on tembardziej jutro wszystko wypowie i przekonają się, że nie kapitan Jesielewski, ale ja byłem w kancelaryi, albo odbierając go napowrót, prosić uradnika o sekret, co byłoby całkiem naprożno.

Tak rozmawiając sam ze sobą, wróciłem do domu i niechcąc otwieraniem furtki trwożyć Albiny, przelazłem przez parkan, złożyłem moje futro w stajni, przebrałem się na prędce, wziąłem przygotowane zawiniątko pod pachą i niepokazując się nikomu w domu, wyszedłem z niego napowrót, idąc spiesznie do rzeki Uralu o wiorst trzy ztąd będącej.

Tam idąc, nie obowiałem się być widzianym, albowiem to, nietylko nie przeszkadzałoby do moich planów, ale by owszem pomogło, lecz wracając, obawiałem się, aby mnie kto nie poznał, w tym bowiem ostatnim razie, mogłoby się nazajutrz rozgłosić, i mię by nie w Uralu, ale w przeciwnej stronie szukano.

Idąc myślałem:

— Boże, dopomóż mi i opiekuj się moją biedną Albiną! ta nieszczęśliwa istota, czekając, zamęczy się, nim ja powrócę, a tu jeszcze tak daleko!... Gdybym był sam, żartowałbym ze wszystkiego i byłbym wyższym nad moje cierpienia... Albożto jednemu człowiekowi wiele potrzeba? przy opiece Boga i spokojnem sumieniu można być wśród niedoli szczęśliwym... dwa pudy prowiantu (ośmdziesiąt funtów żyta na miesiąc) przez rząd każdemu żołnierzowi zabezpieczone, wystarczy, aby być sytym; przy tem pożywieniu można wlec ciężar nędznego życia, i cieszyć się jeszcze, że jest sposobność poświęcić go Temu, który je dla nas poświęcił. Dół i mogiła, jak wspomina Shakspeare, a wie o tem każdy, zakończy wszystko, a tam... Bóg dobry przyjmie swe dzieci i pocieszy je, bo nie podobna, aby nas prześladował, aby nas nienawidził, karał i męczył, bo i za cóż?... grzeszymy wprawdzie i jako ludzie błądzimy, alež to wszystko, czyż już nie jest naszem obecnem położeniem okupione? O! bo tytuł wygnańca jest okropny! bo jego cierpienia są wielkie! bo jego nieszczęścia ten tylko pojmuje, kto miłość ojczyzny w sercach naszych zaszczepił!...

(Ciąg dalszy nastąpi).



Dla milionów.

Powieść tłumaczona z francuskiego przez M. P.

24) (Ciąg dalszy.)

— Trzeba nam to zapisać, — szepnął Anatol, a zwracając się do Lucyana, dodał:

— Myślisz pan, że morderca napadł hrabiego z tyłu?

— Naturalnie! Można to sobie łatwo uprzytomnić. Hrabia wszedł temi oto drzwiami, — rzekł Lucyan, wskazując na prawo — i chciał iść tam,, musiał więc przechodzić koło drzwi, wychodzących na kurytarz.

— To prawda.

— Morderca był widocznie ukryty za tą portyerą, i skoro hrabia się zbliżył, wysunął rękę i ugodził go w plecy. Jak zwykle się w takich razach dzieje, obrócił się hrabia, a morderca zadał mu wtedy ranę w szyję. Hrabia upadł twarzą do ziemi — widać to wyraźnie na kobiercu, krew bo wiem płynęła obficie z rany w szyji, i......

— Przedstawiasz pan to wszystko bardzo dokładnie, — przerwał Anatol szyderczo. — Prawie tak, jak gdybyś był świadkiem tego morderstwa.

— Dla lekarza nie jest to nic trudnego.

— Tak samo jak i dla sędziego.

W tejże chwili wszedł jeden z żandarmów z oznajmieniem, że komisarz życzy sobie widzieć natychmiast sędziego śledczego.

— Musiał coś odkryć, — pomyślał Anatol. Kazał go więc prosić, do Lucyana zaś rzekł dosyć uprzejmie.

— Bądź pan łaskaw odejść teraz i czekać na mnie w salonie hrabiego. Muszę jeszcze pomówić z panem o rozmaitych rzeczach i dać ci protokół do podpisania.

ROZDZIAŁ 11.

Któż zdołałby opisać przerażenie pani Darby, gdy przeczytała list syna. W pierwszej chwili myślała, że oszaleje z rozpaczy, ale miłość macierzyńska dodaje sił i odwagi i czepia się najmniejszego cienia nadzieji.

— On nie umrze, — rzekła sobie w duszy, — muszę tylko spieszyć do niego! Może zdołam go jeszcze ocalić — jeżeli nie, to chociaż umrę obok niego.

Pani Darby otrzymała list Lucyana bardzo późno, bo Piotr spotkał po drodze znajomych i poszedł z nimi „na kieliszek“ wódki. Z jednego kieliszka zrobiło się naturalnie więcej, tak, że zamiast o dziesiątej, przyniósł list o dwunastej w nocy.

Nieszczęśliwa matka zbiegła na dół bez okrycia i bez kapelusza i wziąwszy pierwszą lepszą dorożkę, kazała się zawieść prosto przed pałac hrabiego Noirville. Przeczuwała, że tylko tam znajdzie syna.

Gdy wysiadła z dorożki, i gdy zbliżyła się do bramy, ujrzała dwóch żandarmów stojących tam z dobytemi pałaszami. Pomimo, że morderstwo to popełniono późnym wieczorem, to mieszkańcy sąsiednich ulic dowiedzieli się już o niem i zaczynali się zgromadzać koło pałacu. Zbiegowisko to przeraziło niezmiernie panią Darby, poznała bowiem, że stało się tu coś nadzwyczajnego.

— Więc on już nie żyje? — zapytał ktoś koło niej.

— Nie! Nie miał nawet czasu na wydanie krzyku! — odpowiedziała jakaś kobieta.

— Przybyłam za późno! — jękła nieszczęśliwa matka i jak szalona rozpychała tłum, usiłując dostać się do bramy. Nagle stanął przed nią jeden z policyantów.

— Czego pani chcesz? — zawołał szorstko. — Tu nikomu wchodzić nie wolno.

— Ależ ja jestem jego matką! — krzyknęła z rozpaczą.

— Czyją matką?

— Tego, który już nie żyje!

— To co innego! W takim razie wejdź pani!

Pani Darby szła jak nieprzytomna. Nie wiedziała kto ją prowadził i dokąd idzie i nagle stanęła przed wspaniałem łóżkiem, w kosztownie urządzonym pokoju.

Drżąca, przerażona, zbliżyła się szybko do łóżka, przy którem klęczała już przywołana siostra miłosierdzia, i podniosła kołdrę, zakrywającą trupa. Lecz w tejże chwili cofnęła się i spuściła kołdrę.

Kto to jest? — krzyknęła.

— Hrabia Noiroille — zamordowano go przed kilku godzinami, — odrzekła zdumiona zakonnica.

— Ale cóż on mnie obchodzi? Gdzie jest mój syn?

— Syn pani?

— No tak, Lucyan, ten, który też dziś umarł!

— Nic o nim nie wiem! I nie słyszałam nic o drugim wypadku śmierci!

— Mój syn, Lucyan Darby! Doktor Darby!

— Ah, to jeden z lekarzy, którzy badali rany hrabiego!

— On był więc tutaj? Kiedy?

— Przed kilku minutami!

— I żył?

— Naturalnie! Przecież zamordowano tylko jednego hrabiego!

— Boże! On żyje! Żyje! — krzyknęła pani Darby, i zemdlona, upadła w objęcia zakonnicy.

Z wielkim trudem przywołano ją do przytomności, a gdy znowu otworzyła oczy, pierwszem jej pytaniem było:

— Gdzie mój syn?

— Sędzia śledczy wezwał go do siebie, — odrzekła zakonnica. — Są oni w przyległym salonie, ale drzwi zamknięte na klucz. Musisz pani przejść przez kurytarz.

Pani Darby wstała natychmiast, aby iść do syna, ale znowu zatrzymał ją policyant, i nie pozwolił wychodzić z pokoju.

— Lucyanie! Lucyanie! — wołała głośno, nie zważając na policyanta.

Lucyan, wychodzący właśnie z salonu, usłyszał jej wołanie i zbladł jak ściana. Przypomniał sobie list, pisany do niej, i odpychając policyanta, rzucił się ku matce.

— Przebacz mi, mamo ukochana! — krzyknął. — — Przebacz mi, widzisz przecież, że żyję.

Ale pani Darby nic mu na to nie odpowiedziała. Przebyte wzruszenia zbyt silnie oddziałały na słabe jej nerewy i widząc Lucyana zdrowym i żywym, zemdlała po raz drugi. I nie zauważyła, że z kieszeni jej wypadła ćwiartka papieru tuż przed sędzią śledczym, który przyszedł, aby się przekonać, co znaczy ten hałas na kurytarzu. Podniósł on ów papier i schował go do kieszeni.

Był to ów list Lucyana!

ROZDZIAŁ 12.

— Czegóż pan się dowiedziałeś? — zapytał kilka minut później Anatol komisarza policyi.

— Znalazłeś coś ważnego!

— Cóż takiego?

— W murze, otoczającym ogród znajdują się drzwi wiodące na ulicę Vernevil — tuż przy tych drzwiach znaleźliśmy ślad skrwawionej ręki — tak widoczny, że można policzyć wszystkie palce.

— Więc morderca musiał uciekać temi drzwiami.

— Tak jest. Kazałem natychmiast przywołać kamerdynera i spytałem, czy nie wie, gdzie się znajduje klucz do

owych drzwi, obecnie zamkniętych i zaryglowanych. Odpowiedział mi, że drzwi te służą tylko ogrodowemu i robotnikom, i że klucz wisi zawsze w kuchni! Klucza tam jednak nie było, a ogrodowy, ,który miał go zabrać z sobą i po którego natychmiast posłałem, oddał mi go......

— Więc zabrał go rzeczywiście?

— Tak!

— Myślisz pan, że on jest wspólnikiem zbrodni?

— Nie! O ile sądzić mogę, jest to człowiek uczciwy. Przysięgał na wszystko w świecie, że nikt ani na chwilę klucza z kieszeni jego nie wyjmował, i jestem pewny, że można mu wierzyć. Pomimo to można go śledzić potajemnie!

— Dobrze. Cóż więcej?

— Kazałem sobie dać klucz i otworzyłem drzwi. Zamek był w porządku.

— Nie było drugiego klucza?

— Cała służba zapewniała, że nie.

— Więc morderca musiał mieć klucz podrobiony.

— Tak się istotnie zdaje. Na ulicy widać też były ślady krwi, tak, że nie podlega najmniejszej wątpliwości, że morderca temi drzwiami uciekał. Prawdopodobnie zmęczony, oparł się na chwilę ręką o płot, potem otworzył drzwi, zamknął je znowu na klucz i uciekał dalej.

— Albo też wrócił do pałacu — bramą, — zauważył Anatol sucho. Nic w świecie nie zdołało zachwiać jego podejrzenia!

— Widzę, — że pan podejrzywasz kogoś!

— Nie tylko to — ja mam zbrodniarza w ręku, — odrzekł Anatol z pewną dumą. — Trzeba mi się tylko dowiedzieć, ile czasu potrzeba na przebycie z ulicy Vernenil tu do pałacu.

— Mogę to panu dokładnie powiedzieć, bo sam się już o tem przekonałem. Biegłem wprawdzie prędko, lecz w pięciu minutach stanąłem przed pałacem!

— Bardzo dobrze! Czas zgadza się doskonale! Morderca uciekł drzwiami w murze na ulicę Vernenil, poczem przybiegł przed pałac, zadzwonił do bramy i wszedł do salonu. Hrabina otworzyła okno aby zobaczyć, czy wraca, potem zawołała o pomoc. Nie jest że to wszystko zupełnie jasnem?

— Niestety, tak, — westchnął komisarz.

— Więc to hrabina i doktor Darby...... — szepnął dyrektor policyi.

— Tak! A pan, — rzekł Anatol, zwracając się do komisarza, — myślisz, że ogrodowy jest zupełnie niewinny?

— Z pewnością! Morderca miał ręce skrwawione, musiałyby więc też i na kluczu być ślady krwi.

— Można je było przecież zetrzeć lub zmyć.

— Obejrzałem klucz dokładnie i przekonałem się, że nie był zmywany.

W tejże chwili usłyszeli urzędnicy rozpaczliwe wołania pani Darby i wybiegli na kurytarz — właśnie w sam czas, aby Anatol ujrzał omdlewającą starą kobietę i mógł podnieść list Lucyana.

ROZDZIAŁ 13.

Lucyan podbiegł ku matce i ujął ją w swe silne ramiona i nawet Anatol uczuł się nieco wzruszonym na widok tej siwowłosej, nieprzytomnej kobiety.

— Pomogę panu chętnie, — rzekł do Lucyana, — w trzeźwieniu jej. Proszę mi tylko powiedzieć, co mam zrobić?

— Pomóż mi ją pan przenieść na kanapę.

Po złożeniu zemdlonej na kanapie w salonie, usunęli się urzędnicy dyskretnie, Lucyan zaś, wyłącznie zajęty matką zapomniał na chwilę o przykrości poprzedniego badania. Anatol usiadł w kącie przy stoliku i wyjąwszy znaleziony list, przeczytał go z największą uwagą, a podając go następnie dyrektorowi policyi, rzekł:

— Widzisz pan, miałem słuszność! Hrabina kocha tego doktora!

Pani Darby tymczasem odzyskała przytomność i ze łzami w oczach patrzała na swego ukochanego syna.

— Ty żyjesz, moje dziecko jedyne, — szeptała, — ty żyjesz! Dziękuję ci Boże, za to wielkie szczęście!

Lucyan był niezmiernie wzruszony.

— Przebacz mi, mamo, — prosił, całując jej ręce, — przebacz mi tę straszną boleść, jakiej stałem się przyczyną. Zapomniałem o tobie! Ale teraz wszystko się zmieniło, teraz będziemy szczęśliwi......

Na znak Anatola zbliżył się sekretarz sądowy nieznacznie do kanapy i stenografował całą rozmowę matki i syna. Lucyan nie zauważył tego.

— Nie rozumiem, — mówił dalej, — jak mogłem zapomnieć o tem, aby po zaniechaniu mego zamiaru nie wrócić najpierw do domu i uspokoić cię! Nie myślałem o twej rozpaczy, lecz o tyle jestem uniewinniony, że tu tak nadzwyczajne zaszły wypadki, w obec których wszystko inne ustąpić musiało. Trzeba mi było posłać kogo do ciebie! Widzę, jak źle postąpiłem i wiecznie będę sobie wyrzucał moją nierozwagę. Ale wiesz, mamo , że kocham cię z całego serca! Jedynie myśl o Norze.....

— Widziałeś ją?

— Tak! Dla niej chciałem umrzeć! Musiałem umierać, nie chcąc popełnić zbrodni, bo gdybym żył, ona nie mogłaby zostać jego żoną!

— Mój biedny chłopcze! Wiem, jak straszną męczarnią jest zazdrość, i cierpiałam razem z tobą. Nieraz rozpaczałam nad tem, że ci ani pomódz, ani cię pocieszyć nie mogę. O twem przywiązaniu do mnie nie wątpiłam ani na chwilę, nawet gdy przeczytałam ten list okropny! Ale teraz gdy widzę, że żyjesz, minęło dla mnie wszystko złe i widze nawet, że i ty nie jesteś już tak przygnębiony, jak byłeś w ostatnich czasach.....

— Nie mylisz się, mamo.

— Co się więc stało? Czy Nora nie jest dla ciebie straconą?

— Nie!

— Ale przecież ślub jej odbył się dziś, a raczej wczoraj?

— Tak, lecz ona już nie ma męża.

— Ach, gdzież on jest?

— Hrabia nie żyje!

— Nie żyje! Więc to ten trup, którego widziałam tam —

— Tak mamo!

— On sam sobie odebrał życie?

— Nie, zamordowano go!

— Któż to uczynił?

— Tego nie wiem, dosyć, że nie żyje i że Nora jest wdową! Dlatego też mimowoli nasuwają się myśli o lepszej przyszłości...... nadzieje......

— O Boże! Wysłuchałeś mej prośby! — szepnęła pani Darby.

W tejże chwili zbliżył się Anatol do Lucyana i dotknął jego ramienia.

— Czego pan sobie życzysz? — zapytał Lucyan.

— Matka pana może się obejść bez pomocy lekarza, — — odrzekł Anatol, — a w sieni ktoś na pana czeka.

— Kto?

— Zaraz się pan przekonasz. Uściskaj matkę....

— Jakto, odchodzisz Lucyanie — zawołała pani Darby.

— Na chwilę tylko, — odrzekł dyrektor policyi z szczerem współczuciem.

Lucyan schylił się i ucałował ręce matki.

— Bądź spokojną, mamo najdroższa, — rzekł, — ja zaraz wrócę!

I wyszedł z dyrektorem na kurytarz, oglądając się, gdzie jest ten, który chce się z nim widzieć.

Lecz któż opisze jego zdumienie i przerażenie, gdy nagle został otoczony czterema policyantami, z których jeden uchwycił jego ręce.

— Co to ma znaczyć? — krzyknął i szarpnął się silnie, że policyant musiał się cofnąć.

— Milcz pan, — rzekł dyrektor. — Matka twoja nie powinna wiedzieć, co się tu dzieje, a zresztą wszelki opór byłby daremny!

— Ale czego oni chcą odemnie?

— Na rozkaz sędziego śledczego aresztuję pana! Jesteś oskarżony o zamordowanie hrabiego Noirville w porozumieniu z żoną jego!

— Ja? Ona?

Przez chwilę zdawało mu się, że to sen okropny. On miał zamordować hrabiego? I Nora miała o tem wiedzieć?

— Gdzież mnie zaprowadzicie? — spytał policyantów zupełnie spokojnie.

— Najpierw na rewizyą do domu pana, a potem — do więzienia.

— Proszę tylko o jedno, — rzekł Lucyan drżącym głosem, — nie powiadajcie dziś nic o tem mojej matce. Jest ona jeszcze zbyt osłabioną — ten nowy cios mógłby ją zabić!

— Nie obawiaj się pan niczego, ukryjemy prawdę przed nią jak można najdłużej.

Kilka minut później wyjechał powóz z aresztowanym Lucyanem z dziedzińca pałacowego, a po upływie pół godziny opuszczała Nora także pałac w zamkniętej karecie, aresztowana z rozkazu Anatola. W opustoszałym pałacu został tylko Anatol z sekretarzem, w celu pozamykania pokoi i opieczętowania drzwi.

Panu Aleksandrowi powierzono urządzenie pogrzebu i pilnowanie domu.

ROZDZIAŁ 14.

Po zamknięciu drzwi w murze ogrodowym, na którym komisarz odkrył ślady krwi, pobiegł Alfons spiesznie ku ulicy Solprimo, gdzie Lola czekała na niego w dorożce. Był on tak przerażony popełnionym czynem, że biegnąc, taczał się, jak pijany, a myśl, że odtąd będzie żył ciągle z widokiem rusztowania przed oczami, pozbawiała go całkiem przytomności.

Noc była ciemna, bo księżyc skrył się za chmury, a dorożka stała w najciemniejszym kącie ulicy. Pomimo to rozpoznał Alfons wnet twarz Loli, wychylonej z okna.

To dodało mu znowu trochę odwagi, bo nie był już sam. Pędem zbliżył się do dorożki.

— Siadaj prędko, — szepnęła Lola, — woźnica śpi jak kamień, nie widział cię wcale. Nie mów tylko ani słowa!

Alfons wskoczył do powozu, Lola zaś spuściła szybę i pociągnęła mocno woźnicę za rękaw.

— A co — co tam? — zawołał dorożkarz, budząc się zwolna.

— Jedźmy Czekanie znudziło mnie już, — odrzekła Lola. — Na ulicę Cadet — a prędko, dostaniecie dobrą nagrodę. Na rogu ulicy stańcie!

Dorożkarz, roztrzeźwiony już zupełnie obietnicą nagrody, zaciął konia, i powóz potoczył się z hałasem po nierównym bruku.

— No i cóż? — spytała Lola narzeczonego.

— Stało się, — odrzekł Alfons drżącym głosem.

— Nie żyje?

— Nie! Zadałem mu dwie rany śmiertelne. Nie na darmo studyowałem medycynę i anatomią!

— Jesteśmy pomszczeni! Nie spostrzegł cię nikt?

— Nie!

— Więc nikt cię podejrzywać nie może?

— Nikt.

— A Robert?

On tam został. Obmyślił i przygotował wszystko znakomicie, nikt w świecie podejrzywać o to nie może!

Alfons powtórzył jeszcze kilka razy te słowa, jak gdyby się chciał sam przekonać o ich prawdzie, potem jednak umilkł i zamyślił się głęboko. Lola nie przerywała milczenia, dopiero, gdy się zbliżali do celu, pochyliła się ku niemu i szepnęła:

— Doróżkarz nie widział cię wsiadającego, byłoby więc dobrze, gdyby cię nie widział wysiadającego. Gdy wyjdę z dorożki, dam mu dwadzieścia franków do zmienienia, i podczas kiedy on będzie liczył pieniądze, wysiądź po cichu z drugiej strony. Otwórz teraz drzwiczki i przytrzymaj je. Na końcu ulicy Cadet spotkamy się!

Alfons wykonał wszystko jak mu kazała, i gdy nareszcie stanęli oboje w mieszkaniu Loli, spojrzeli sobie po raz pierwszy po dokonanej zbrodni w oczy.....

Oboje drżeli, patrząc na siebie. Lola była śmiertelnie blada i pomimo pozornego spokoju przejmowało duszę jej niezmierne przerażenie. Na widok bladej twarzy tej, której stanowczość i siłę woli znał aż nadto dobrze, zwątpił Alfons jeszcze więcej o sobie i czuł, że odtąd nie będzie miał nigdy spokojnej chwili w życiu. Wyglądał też straszliwie. Na ubraniu jego i na rękach pełno było śladów krwi, włosy spadały mu w nieładzie na czoło, a usta, wykrzywione dziwnym jakimś uśmiechem, drgały kurczowo. Był to prawdziwy obraz mordercy. Zabił człowieka bezbronnego, a pragnął litości, popełnił haniebną zbrodnią, a drżał na myśl kary.

— Pomściłem cię, — wyjąkał nareszcie, — stałem się mordercą, żeby ciebie zbogacić. I ty nie podziękujesz mi nawet za to?

— Wyglądasz jak rzeźnik, — odrzekła Lola pogardliwie, i cofnęła się z widocznym wstrętem. — Przejrzyj się w lustrze!

— O, to krew! krew! — szepnął ochrypłym głosem. — Trzeba to zmyć — wyprać.....

— Jak najprędzej. Chodź do kuchni!

Alfons poszedł za nią i mył się długo i starannie, poczem zaczęli oboje wycierać z ubrania plamy.

— Wszystko dobrze, — rzekła Lola, — tych plam nie widać, najgorzej tylko z mankietami, bo z płótna białego krwi zetrzeć nie można. Trzeba je spalić.

Potem pożegnała czule narzeczonego i ucałowała go tak gorąco, jak nigdy jeszcze.

— Muszę go jeszcze zatrzymać na pewien czas, — myślała, — potrzebuję go bowiem i nie mogę mu okazać mego wstrętu. Ale potem.....

Zaledwie Alfons stanął w swojem mieszkaniu, rzucił się na łóżko i popadł w ciężki, głęboki sen, jaki zwykle ogarnia zbrodniarzy po dokonanym czynie.

(Ciąg dalszy nastąpi.)



DZIAŁ ILLUSTROWANY.

Dnia 24-go marca 1794 r. w Krakowie.

(Wspomnienie historyczne).

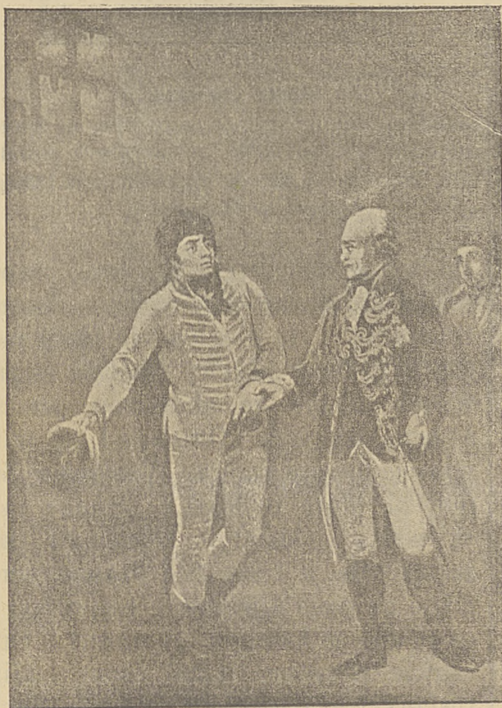
Tadeusz Kościuszko powołany wolą narodu na wodza naczelnego, przybył do Krakowa dnia 23 marca 1794 roku wieczorem i stanął kwaterą w pałacyku generała Józefa Wodzickiego. Pałacyk ów leżał w tem miejscu, gdzie obecnie znajdują się domy 1 .5 i 7 przy ulicy Studenckiej, otoczony był dokoła obszernym ogrodem, który mur okalał. Do ogrodu od strony miasta prowadziła brama wyjezdna, znajdująca się w istniejącej do tej chwili wieży, stojącej naprzeciw ulicy św. Anny.

W roku 1794 miasto kończyło się w tej stronie przy kościele św Anny, w miejscu zaś dzisiejszych plantacyi był mur obronny i rów forteczny, zamykający zupełnie ulicę św. Anny tak, iż prowadziła z niej do rowu tylko mała furtka, służąca w czasie wojny do wycieczek, w czasie pokoju do potrzeb gospodarskich i nie mająca żadnego połączenia z przeciwnym brzegiem rowu. Pałacyk więc Wodzickiego, wraz z otaczającym go ogrodem, leżał całkiem za miastem, na ustroniu, a najbliższem jego połączeniem z Krakowem, była droga prowadząca wzdłuż rowu fortecznego do „furty szewskiej", zamykającej ulicę Szewską, dostępnej od strony pola przez most zwodzony.

W tem ustroniu zanocował Kościuszko, przygotowując się do uroczystego aktu przysięgi, który nazajutrz miał go połączyć z narodem polskim na życie i śmierć.

Oddział Moskali, który pod dowództwem pułkownika Łukoszyna zajmował do niedawna Kraków, zawiadomiony o zbliżaniu się generała Madalińskiego, na czele brygady kawaleryi narodowej, wyruszył przeciw niemu i w dniu 23 marca Kraków wolnym był od najezdników, a załogę jego stanowiły dwa bataliony polskiej piechoty, z regimentów Czapskiego i Wodzickiego.

Generał Józef Wodzicki, będący komendantem miasta, kazał wojsku w nocy z 23 na 24 marca obsadzić wszystkie bramy i furtki miejskie i nikogo nie wpuszczać, ani nie wypuszczać. Zarządzenie to przeraziło niemało rano dnia 24 prezydenta miasta Krakowa imci pana Lichockiego, który używając wywczasu w wygodnem łóżku, dowiedział się o tem, co się dzieje, od wracającej z miasta służącej; dla wtajemniczonych zaś w przedpowstańczą organizacyę, było wskazówką, iż dnia tego rozpocznie się walka o wolność i niepodległość Polski. Wkrótce okazać się miało, jak znaczna liczba była tych wtajemniczonych, w chwili bowiem gdy Kościuszko, otoczony orszakiem oficerów polskich i krakowskich radzców miejskich, na których czele postępował wystraszony i pobladły pan prezydent miasta Lichocki, wkraczał do miasta przez



Car Paweł i Kościuszko.
(Obraz historyczny nieznanego artysty).
Kościuszko daje w więzieniu carowi Pawłowi słowo, że przeciwko armii rosyjskiej więcej i nigdy walczyć nie będzie Ten moment historyczny kończy właściwie polską działalność publiczną wielkiego wojownika, Kościuszko bowiem pozostał wierny swemu słowu pomimo namowy Dąbrowskiego, pomimo pochlebstw Napoleona.

„szewską furtę", już rynek krakowski roił się od ludu oczekującego przybycia uwielbianego wodza, a na piersiach młodzieży, zgromadzonej przed ratuszem świeciły bandolety z sylwetkami Kościuszki i napisami „Wolność lub śmierć", „Wiwat Kościuszko!", „Za prawo i wolność" i t. p.

Nieopodal ulicy Szewskiej, przed ratuszem wyciągnięte w długą linię, błyszczały bagnety batalionów Wodzickiego i Czapskiego, oczekujących w milczeniu orszaku, co wolnym, uroczystym krokiem postępował przez ulicę Szewską ku rynkowi. Gdy orszak ten dotarł do wylotu ulicy i wkroczył na rynek, powitał go okrzyk gromki, potężny, radosny, z tysiąców piersi płynący...

„Wiwat wolność! wiwat Kościuszko!" grzmiało wzdłuż szeregu bagnetów, wiwat wolność! wiwat Kościuszko! odpowiadano z pod ratusza, ten sam okrzyk rozbrzmiewał z balkonów, okien, dymników, z dachów nawet...

Tymczasem największy z bohaterów Polski, zatrzymał się przed frontem batalionów i odkrył głowę — na to hasło umilkły okrzyki i niema, uroczysta zaległa cisza — a wśród ciszy tej, którą zaledwie bicie serc zgromadzonych tysiąców przerywało, rozlegał się głos Kościuszki, przysięgającego wierność narodowej sprawie.

„Ja Tadeusz Kościuszko, przysięgam w obliczu Boga, całemu Narodowi polskiemu, iż powierzonej mi władzy na niczyj prywatny ucisk nie użyję, lecz jedynie jej dla obrony całości granic, odzyskania samowładności narodowej i ugruntowania powszechnej wolności używać będę. Tak mi Panie Boże dopomóż i niewinna męko Syna Jego".

Umilkły słowa przysięgi — i znów zerwała się burza radosnych okrzyków, która odprowadziła świeżo poślubionego Polsce bohatera, aż do wnętrza starożytnego ratusza. Tu po krótkiej przemowie Kościuszki, w której wódz nasz zaznaczył, że wszystkich mieszkańców Polski za równych uważa i ku wywalczeniu ich wspólnej wolności oręż podnosi, odczytano pismo nazwane: *„Akt powstania obywatelów mieszkańców województwa krakowskiego"*, w którym ogłoszono Tadeusza Kościuszkę najwyższym naczelnikiem wojska polskiego i Polski całej, z władzą nieograniczoną, t. j. taką, jakiej nikt w Polsce, nawet sam król nie miał; wyłuszczono dlaczego Polska powstaje, wykazano krzywdy, jakich naród polski doznał od Prus i Moskwy i oświadczono, że odtąd niema już żadnych różnic między mieszkańcami Polski, lecz wszyscy Polacy są równi i wolni.

Po tej uroczystości najwyższy naczelnik zabrał się natychmiast do formowania wojska polskiego. Wojska tego w Krakowie i okolicy niewiele było; Kościuszko więc wezwał lud wiejski do broni.

Lud krakowski wiedział czego chce Kościuszko. Wiedział, że celem walki, którą rozpoczyna, jest zniesienie pańszczyzny i obdarzenie wszystkich Polski mieszkańców wolnością i

równością; wolnością, jakiej przedtem nigdzie na świecie, nawet w Polsce nie było. To też licznie zaczął się garnąć do Kościuszki. Wnet place i ulice Krakowa zaroiły się białemi i szaremi sukmanami, czerwonemi krakuskami, nad któremi połyskiwały na sztorc wbite kosy, a mury Krakowa zabrzmiały znaną pieśnią „Przystajwa do Kościuszki“.

Dnia 1 kwietnia miał już najwyższy naczelnik kilka tysięcy żołnierzy, a wśród nich niemało kosynierów.

I poszedł z nimi w bój krwawy i sławny. *„P.“*

Przed 75-u laty.

(Wspomnienie historyczne).

II.

Bitwa pod Wielkim Dębem

dnia 1 kwietnia 1831 r.

Nazajutrz po bitwie pod Wawrem t. j. 1-go kwietnia rozpoczęła się pamiętna bitwa pod Wielkim Dębem. Skrzynecki błądził bardzo, że choć miał znaczne siły pod ręką, nie uderzał na wroga wielkiemi masami, ale tylko małemi oddziałami. Tak i pod Dębem, choć miał 36,000 wojska, a Rosen silnie był obwarowany, wysłał przeciw niemu tylko 2 pułki piechoty t. j. czwarty i ósmy pod dowództwem Małachowskiego. Był to twardy orzech do zgryzienia, gdyż trzeba było uderzać na las gęsty i tak błotnisty, że koń jenerała wpadł pod brzuch w błoto. Kiedy dzielne wiarusy zaczynają Moskali z lasu wypędzać, uderza na nich moskiewska kawalerya. Dwa razy idą Polacy śmiało naprzód, dwa razy muszą się cofać. To się działo na lewem skrzydle. Tak samo z prawej strony pułk czwarty pod Bogusławskim nie mógł, przeprawiając się przez błoto, odnieść korzyści. Już się miało ku wieczorowi, gdy wódz naczelny wydał rozkaz, aby wojska stanęły na noc w tych samych stanowiskach, jakie zajęły. Bogusławski z czwartym pułkiem byłby spędził noc całą w błocie, a Moskale zajmowaliby suche leże we wsi. To było za wiele dzielnemu dowódzcy, więc zawołał: „Albo my to kaczki, żeby spać w błocie, mając wieś przed nosem? hura ha! dzieci, odbierzmy tym szelmom kwatery!“ Jakoż zaraz zakomenderował: „Bataliony naprzód! marsz, marsz!“ Wiarusy uderzają, a wnet Moskale zaczynają się cofać. Wtedy oficerowie uprosili nareszcie u Skrzyneckiego, że pozwolił, aby jazda pod Skarżyńskim poszła w pomoc dzielnym Czwartakom. Uderzyli dzielni strzelcy konni czyli szasery, roznosząc popłoch między Moskalami. Wnet zaczęła się ogólna ucieczka, a o 9-tej wieczorem już była wieś zdobytą, zabrano kilka armat i znaczną liczbę jeńców. Ciemna noc nie dozwoliła dalszego ścigania. Gdyby był Skrzynecki wydał nazajutrz stósowne rozporządzenia, byłby cały korpus Rosena zniszczony. Na nieszczęście jazda polska 3 godziny później zaczęła ścigać wroga. Mimo to odniesiono jeszcze świetne korzyści. Odznaczył się mianowicie mężnie kapitan Władysław Zamoyski, który rozbijał z ułanami moskiewskie oddziały. Odznaczył się szczególnie w lesie pod Kałuszynem, gdzie na czele szwadronu rozproszył 3 moskiewskie bataliony, i zdobył 3 chorągwie, przyczem został ranny. Mierosławski w *Historyi Powstania Narodu Polskiego* mówi z uznaniem o dzielności Zamoyskiego.



Piotr Wysocki,
podporucznik gwaryi grenadyerów, na którego czele wzniecił pułk podchorążych powstanie, które wybuchło dnia 29 listopada 1830-go roku w Warszawie.

Żołnierze rosyjscy tłumami broń rzucali i poddawali się zwycięzcom. Chłopi okoliczni przyprowadzali tłumy jeńców. Burmistrz miasteczka Dobre Żebrowski, uzbroiwszy 150 mieszczan zadał uciekającym Moskalom straszne klęski. To też zabrali Polacy, mimo spóźnionego pościgu, 11,600 jeńców, a prócz tego 12 dział, 5 chorągwi, 50 jaszczyków (wozów amunicyjnych), 6000 sztuk broni, 4 polowe apteki, magazyny i t. d. Padło Moskali 2000 trupem, a Polacy stracili tylko 450 zabitych i rannych.

Podziwiać trzeba dzielność żołnierzy polskich pod Wawrem i Dębem. Walczyli jak lwy. Szli śmiało naprzód, nie zważając na las i błoto. Prosty szeregowiec Walenty Kucharski wziął w niewolę moskiewskiego generała Lewandowskoj. Okryli się sławą Bogusławski, Skarżyński, Sznajde. Ten ostatni był ranny i zostawał w wielkiem niebezpieczeństwie; ocalił mu życie żołnierz Jan Stysiak, podając mu własnego konia. W tym pamiętnym boju odznaczyły się też dwa szwadrony jazdy, złożone z poznańskich ochotników.

Nie podobna opisać radości, jaka zapanowała w Warszawie, kiedy nadeszła wiadomość o tem walnem zwycięztwie. Oto co pisze o tem weselu naoczny świadek kapitan Sufczyński w książce: *Boje Polskie:* „Działo się to w wielkim tygodniu, to też radośnie obchodzono w Warszawie święto Zmartwychwstania; za orszakiem senatu, izby poselskiej i rządu, idącym do katedry św. Jana, niesiono zdobyte sztandary, za nimi szły działa, zbryzgane krwią zrąbanych na nich kanonierów, w końcu gęste zastępy niewolników; a natura, jakby w zmowie z tą radością Polaków, nie odmówiła uśmiechu swego, bo najpiękniejsza pogoda przyświecała temu obchodowi narodowemu“.

* * *

A. K. Puzyrewskij, rosyjski generał-lejtnant sztabu głównego, tak opisuje bitwę pod Wielkim Dębem w dziele p. t. „Wojna polsko-ruska“:

Rosen o 6-tej zrana dnia 1-go kwietnia otrzymał doniesienie Gejsmara o wyjściu z Warszawy całej armii nieprzyjacielskej. Największa odległość między oddziałami korpusu jego nie przechodziła 12 wiorst, można się przeto skoncentrować było w przeciągu 3—4 godzin; licząc godzinę na rozsyłkę rozkazów i tyleż na zbieranie się pojedyńczych oddziałów, wypada, że korpus mógłby się zebrać w południe; stało się to wszakże później z powodu złych dróg, — dlatego też opór Gejs-

NUMER KONTROLLI 39 — W WARSZAWIE DNIA 15 MIESIĄCA Stycznia ROKU 1831



GWARDYA NARODOWA

Zawiadamiam W. Pana Garszyńskiego Wojciecha iż w Skutek Organizacyi Gwardyi Narodowey z d. 17 Grudnia Roku 1830 przez DYKTATORA utwierdzoney jesteś zamieszczony w liczbie Członków Gwardyi Narodowey Miasta Stołecznego Warszawy i należysz do Pułku 2 Batalionu 4 Dowództwa W. [illegible] Kompanii [illegible] Dowództwa Kapitana [illegible]. Stosownie więc do powyższego Zawiadomienia, niepowinieneś się wyłamywać w niczem co porządek dobro ogólne bezpieczeństwo publiczne, po Niem wymagać będą, a to pod surowością ustawy karney dla Gwardyi Narodowey przepisaney.



DOWÓDZCA GWARDYI NARODOWEY

Antoni Ostrowski
Senator Woyewoda

mara przeszkodził jedynie Polakom napaść niespodzianie na Rosena, a nadto baron Rosen, zamiast skupienia wojsk wszystkich na jednym punkcie, zebrał je na trzech: pod Dębem Wielkim, Ryszami i Mistowem. Tym sposobem pod Dębem Wielkim zgromadził resztę piechoty 24-tej dywizyi z 50-tym pułkiem strzelców, Litewski pułk ułanów i 3 szwadrony strzelców konnych, tak, że z wojskami straży przedniej miał wszystkie 12 batal., 15 szwadr., 26 dział i 2 pułki kozackie, przeciw poczwórnym siłom nieprzyjaciela.

Wieś Dębe Wielkie leży na północnej stronie szosy, wzdłuż niewielkiego strumienia, przecinającego ją na zachodnim wsi końcu i wpadającego do przepływającej w pobliżu rzeczki Mieni. Przez strumień na szosie wiódł most i wysoka grobla; na południowej stronie szosy znajdowały się jedynie zabudowania dworskie. Miejscowość za wsią wzniesiona; wzniesienia biegną pod kątem ku szosie, w kierunku zachodnim, pochylając się słabo w stronę Pragi; przed wsią i na południe szosy ciągnęły się nizkie łąki, na północ zaś — bagniste zarośla, otaczające polanę i zachodzące pod wieś bardzo blizko. Korzyści naszej pozycyi leżały w tem, że mogliśmy swobodnie poruszać się na wyżynach i obserwować nieprzyjaciela, zmuszonego przechodzić przez bagniste niziny; główną zaś jej wadą był kierunek pod kątem do drogi odwrotu, który łatwo dla środka i prawego skrzydła naszego mógł być odciętym w razie zajęcia lewego skrzydła przez Polaków; zaznaczyć również wypada, że Rosen dla niewiadomych powodów nie zburzył mostu na szosie.

Wojska nasze stanęły na pozycyi w porządku następującym: na prawem skrzydle 50-ty pułk strzelców (1 batal.) mający za sobą w odwodzie 48-my strzelców; tu stały również i 4 działa; trzy bataliony pułków Białostockiego i Brzeskiego z 8-ma działami stały na wyżynie przed wsią; za nimi Litewski pułk ułanów, a na prawo 3 szwadrony strzelców konnych Tyraspolskich; nakoniec batalion pułku Brzeskiego z 2 działami stał na lewo do Dębego, przy szosie; za nim stały oddziały straży przedniej Gejsmara; lewego skrzydła pilnowali kozacy.

Całe siły Rosena na pozycyi, łącznie z oddziałem Gejsmara, wynosiły do 8 tys. piechoty i 2 tys. jazdy. Jak wspomniano wyżej, trzy pułki 25-tej dywizyi pierwszej i Polski pułk ułanów zebrane były pod Ryszami. Jeżeli przeznaczenie ich było dawać baczenie na nieprzyjaciela, to niepodobna nie zaznaczyć, że cel ten mógłby również dobrze osiągnięty przy pomocy niewielkiego tylko oddziału jazdy; jeżeli zaś miały one zabezpieczać od możliwego obejścia, to wysłanie jazdy w podobnym celu mogło być zrobione po otrzymaniu odpowiedniej wiadomości od dozorującej jazdy; przedwczesne zaś odkomenderowanie tak znacznego oddziału poprowadziło jedynie do rozrzucenia sił; nakoniec stanowczo niepodobna zrozumieć, dlaczego dalej jeszcze z tyłu gromadziła się brygada piechoty i 6 szwadronów strzelców konnych, którym pod Mistowem kazano czekać rozkazów. W każdym razie Rosenowi w podobnych okolicznościach chyba niepodobna było myśleć o krokach zaczepnych, a wtedy zburzenie mostu na szosie zabezpieczałoby wielce niebezpieczne lewe skrzydło pozycyi naszej; nie dokonano tego wszakże, co też i smutne miało następstwa.

Niebawem za Gejsmarem nadciągnęli do Dębego Wielkiego Polacy. Skrzynecki już wtedy wciąż się obawiał, że Dybicz uderzy na prawe jego skrzydło, w czem fałszywa utwierdziła go pogłoska, jakoby na prawo, od strony Wiązowny, ruska ukazała się kolumna. Na skutek tego wysłał on w tym kierunku brygadę jazdy i dywizyę piechoty, które nic tam nie znalazłszy wróciły niebawem. Prądzyński szedł na czele dywizyi Małachowskiego, przynaglając do pospiechu; pułk 4-ty (Bogusławskiego) skierowany był bezzwłocznie na szosę, ale zatrzymał się spotkany przez naszą artyleryę. Skrzynecki kazał pułkowi 8-mu (Węgierskiego) ruszyć przez las i uderzyć na prawe nasze skrzydło, ale pułk ten zasypany kartaczami, również cofnął się ku brzegowi lasu. Wszystkie usiłowania Polaków celem wysunięcia naprzód artyleryi były daremnemi, skutkiem bowiem bagnistego gruntu działa zjeżdżające z szosy więzły w nim po osie prawie. Adjutant naczelnego wodza, Potocki, wysunął naprzód na szosie dwa działa 12-futowe, ale silny ogień artyleryi ruskiej zmusił je zejść niebawem z pozycyi. Widząc te niepowodzenia Skrzynecki kazał pułk 8-my wzmocnić dwoma batalionami 2-go pułku strzelców. Na lewem skrzydle Polacy wprawdzie posunęli się naprzód, ale spotkani ogniem artyleryi ruskiej i piechoty, oraz szarżami Tyraspolskich strzelców konnych, sami bronić się musieli. Bój na tem skrzydle był niezwykle uparty. Widząc, że główne wysiłki Polaków zwrócone są na prawe skrzydło nasze i obawiając się utracić skutkiem tego łączności z wojskami, zbierającemi się pod Ryszami, Rosen skrzydło to wzmo-


Zdobycie arsenału w Warszawie w nocy 29-go listopada 1830 roku.
(Według starego sztychu).


Szeregowiec jazdy krakowskiej z roku 1830/31.

cnił trzema batalionami pułków Białostockiego i Brzeskiego ze środka, dokąd przeniesiono przyprowadzone przez Gejsmara pułki: 47-my strzelców i Wileński piechoty.

Takim sposobem lewe nasze skrzydło, ogromne mające znaczenie, osłabione zostało. Zauważyli to Polacy i ruszyli szosą w siedem batalionów, które, niewiadomo dlaczego, szły naprzód czworobokami po bardzo mokrej miejscowości z tyralierami na czele. Natarcie to silnym ogniem artyleryjskim spotkane zostało; skoro zaś nieprzyjaciel rzucił się pomimo tego przez łąki ku wsi, to pułk Litewski ułanów odważnemi szarżami swemi kilkakrotnie odpierał piechotę nieprzyjacielską; szarże te wszelako nie mogły mieć bardziej stanowczego powodzenia, konie bowem, trafiając na podorywkę, po brzuch prawie zapadały.

Nadchodzący wieczór zniewolił Skrzyneckiego przemyśliwać nawet o przerwaniu boju na ten dzień po odwołaniu piechoty. Lecz, ponieważ byłoby to związane z wielkiem niebezpieczeństwem, a nadto kiedy pułkowi 4-temu udało się zająć najbliższe domy Dębego Wielkiego, Chrzanowski więc prosił naczelnego wodza o danie rozkazu jeździe wyruszyć po szosie galopem na drugą stronę wsi dla odcięcia odwrotu Rosyanom. Uzyskawszy na to zgodę Skrzyneckiego, Chrzanowski zaproponował jednemu z oficerów spełnienie ruchu tego. Dowódzca dywizyi jazdy, Skarzyński, sam podjął się jego wykonania, ale na przełożenie Dembińskiego — ze znacznemi siłami, cios bowiem winien tu być stanowczym. Stanął tedy na czele kolumny, sformowanej szóstkami od prawego; na przedzie znajdowały się dwa szwadrony 2 pułku strzelców konnych, za nimi dwa szwadrony karabinierów, dalej dwa szwadrony poznańskie i 5-ty pułk ułanów. Dwa szwadrony 2-go pułku strzelców konych, będące na przedzie, skierowane były za radą Dembińskiego wprost po drodze ku dworowi. Jazda pędem puściła się po szosie na groblę; kilka strzałów spotkało ją z Dębego. Nie zwracając na to uwagi, Skarzyński pędzi za wieś, rozwija na prawo strzelców konnych, na lewo karabinierów i rzuca się natychmiast na ruską artyleryę i piechotę (2 batal.) lewego skrzydła. Jeden szwadron strzelców konnych zwrócił się na prawo, uderzył na nasz batalion, poczem wpadli na działa. Rosen, który odesłał już część jazdy i dział daje rozkaz ułanom Litewskim iść na spotkanie jazdy polskiej; ułani rzucili się na karabinierów, odparli ich na drugą stronę szosy i zdołali odbić dwa działa, ale zaatakowani z boku przez strzelców konnych, cofnąć się musieli, tracąc wziętego do niewoli walecznego pułkownika Szyndlera; w starciu tem sam Rosen o mało nie dostał się do niewoli. Pod osłoną tej szarży jazdy Polacy opanowują zabudowania dworskie i wieś samą. Widząc niepodobieństwo ostania się przed przemożnym nieprzyjacielem, bataliony środka i prawego skrzydła cofać się zaczynają, parte przez polską jazdę i tracąc generała Lewandowskiego; ale prosta droga odwrotu odcięta była i prawemu skrzydłu; trzeba było się puścić drogą okolną; szczęściem nadciągnęły w tej chwili trzy pułki stojące pod Ryszami. Rosen dał rozkaz Gejsmarowi, tak z nimi, jako i z resztkami pułków Brzeskiego, Wileńskiego i 47-go strzelców, osłaniać odwrót ogólny, niemniej przeto część dział opozycyjnych ugrzęzła w błocie i dostała się w ręce nieprzyjaciela. Pod noc korpus dotarł do Mińska, nie ścigany prawie. Straż tylna Gejsmara zatrzymała się pod Stojadłami; do składu jej weszły: dwie brygady strzelców, 2-ga brygada 25-tej dywizyi pieszej, trzy pułki ułanów, kozacy i 6 dział. Tym sposobem w bitwie tej Skrzynecki nie działał na lewem skrzydle odrazu należytemi siłami i nie poparł jazdy Skarzyńskiego dywizyą Łubieńskiego po przerwaniu pozycyi ruskiej.

O drugiej po południu Rosen cofał się dalej ku Kałuszynowi, nakazawszy iść tam i stojącej pod Mistowem 1-szej brygadzie 25-tej dywizyi pieszej z sześcioma szwadronami strzelców konnych. Gejsmar do rana pozostawał pod Stojadłami, ażeby dać możność pociągom wyjść na szosę, tonęły bowiem w błocie na bocznych drogach. W Kałuszynie korpus zatrzymał się dla wypoczynku, doczekał się nadejścia straży tylnej (stojącej pod Stojadłami do 8-mej rano) i ku wieczorowi 1-go kwietnia cofnął się za rzeczkę Kostrzyń ku wsi Polakom, pozostawiwszy straż tylną Gejsmara nad samą rzeczką pod wsią Jagodnem. Ze strony polskiej Prądzyński i wielu innych oficerów radzili Skrzyneckiemu iść wciąż naprzód, ale Skrzynecki wahał się przez większą część dnia; postanowiono nakoniec dla dalszego ścigania wyprawić świeże wojska i w tym celu wyznaczono dywizyę jazdy Łubieńskiego i pieszą (2-gą) Giełguda, jednocześnie zaś dla baczenia za feldmarszałkiem wysłano z Mińska na Garwolin oddział Skarzyńskiego. Ponieważ dywizye Łubieńskiego i Giełguda znajdowały się na samym końcu, musiały więc przedostawać się przez całą kolumnę po drodze zapchanej przez parki, pociągi i t. p., co powstrzymało ściganie o godzin kilka. Prądzyński dał Łubieńskiemu instrukcyę — ścigać energicznie i atakować wszystko, co napotka, licząc na upadek ducha w wojskach uległych porażce. Miejscowość między Mińskiem a Kałuszynem nierówna, Gejsmar więc wysłał przodem jazdę i artyleryę. Łubieński, zbliżając się do Kałuszyna, ścigał Rosyan; w pobliżu miasta tego ułani polscy (4-ty pułk), rozproszywszy znajdujących się w tylnej straży kozaków, nagle napadli na pułk 49 i 50 strzelców, atakowali je i zdobyli dwa sztandary. Strzelcy, oprzytomniawszy, rzucili się, by odbić sztandary; dowódzca 4-go pułku ułanów, hr. Zamoyski, nie poparty przez Łubieńskiego, znalazł się w położeniu krytycznem i tylko rzuciwszy się w las, zdążył się w nim ukryć, unosząc cenną zdobycz, ale sam został raniony. Od chwili tej korpus Rosena całkowicie upadł na duchu. Łubieński puścił się za Gejsmarem ku Kostrzyniowi, siły zaś główne Polaków zatrzymały się pod Kałuszynem. Straty nasze w zabitych, ranionych i wziętych do niewoli były bardzo znaczne; zwiększyły się jeszcze skutkiem tego, że 31-go marca około 1200 wysłanych było na odległe furażowanie; ci więc wszyscy odcięci zostali od korpusu i wśród szerzącej się trwogi zabrani przez Polaków. Straty ogólne wynosiły do 5.500 ludzi, 5 sztandarów i 10 dział. Według słów Prądzyńskiego, Polacy stracili w bitwie z Gejsmarem i pod Dębem Wielkiem niecałe 500 ludzi.

Bitwa pod Wielkim Dębem

1 Kwietnia 1831-go roku.

(Wspomnienie historyczne.)

Tam pod Dębem bitwa huczy,
Ogniem grzmią baterye.
Moskal Rozen tam prowadzi
Swoją kawaleryę.

Przeciw niemu Małachowski
Lewe skrzydło wiedzie,
Dwakroć atak ich odpiera,
Z Rozenem na przedzie.

Prawe skrzydło Bogusławski
Zajął z Czwartakami.
A był grunt tam mokry, płaski,
Pokryty bagnami.

Brodzi więc piechota nasza,
Oschnąć nie ma czasu —
I wypiera bagnetami
Moskala z pod lasu.

— Słyszcie, zuchy! — Tak Czwartakom
Bogusławski rzecze. —
— Czy my kaczki, byśmy w błocie
Stali, gdy deszcz ciecze?

W Dębem Moskal się rozłożył,
Suche ma kwatery...
Dalej! hura na Moskala,
Moje bohatery! —

Jakże runą tam Czwartaki
W taniec swój szalony!
Nic nie słychać, tylko: — Marsz!
Marsz!
Najprzód bataliony!

Tuż Skarżyński w pomoc skoczy
Ze swymi szasery...
Wypędzili Moskwę ze wsi,
Zabrali kwatery!

Już wesoły ogień błyska,
Krupnik z kotła pryska,
Dzielna wiara opatruje
Rany u ogniska.

Krąży czarka wśród drużyny,
Przy onej ochocie...
Sucho będą spać Czwartaki,
A Moskale — w błocie!

Jan Sawa.

Wspomnienie o Kazimierzu Puławskim.

(Szkic historyczny).

Napisał Karol Cieszewski.

XXXIV.

Jak wyglądali konfederaci?

Aby dać wyobrażenie czytelnikom, jakie konfederatów barskich było uzbrojenie i umundurowanie, przytaczamy ustęp z pamiętników ks. Kitowicza, naocznego świadka:

„Przystępuję do opisu stanu konfederacyi pod izbą konsyliarską“:

„Wszystkie pułki jezdne oporządzone były należycie w konie, broń i mundury; już się pozbyły gałganków początkowych, słomianych kulbak czyli worów słomą wypchanych; mizernych szkapin, szabel w węgorzowych pochwach, owczarskich bandoletów, myśliwskich rusznic z potrzaskanemi łożami i ladajakiemi zamkami; pistoletów na smyczy z szyi wiszących i innych wojennych gratów, w które się konfederaci z początku jak mogli armowali, a które częstokroć zamiast obrony, stawały się im zgubą mianowicie pistolety, których po kilka par wozili około siebie towarzystwo i oficerowie: w olstrach parę, na tasaku z jednego boku parę, z drugiego parę, na smyczy parę. Te ostatnie w nagłym biegu, mianowicie przez bory w ucieczce, bujając około jeźdźca, zawinąwszy się o drzewo, ściągnęły go z konia i przytrzymały doganiającemu nieprzyjacielowi, a inne obciążając lichą szkapinę, mordowały i sedniły. Nie miał potem żaden konfederat, prosty i oficer, jak jednę parę pistoletów w olstrach, drugą niektórzy na tasaku, karabinek i szablę.“

„Mundury nastały dla każdego pułku, jednostajne kurtki granatowe, czapki z wysokiemi baranami, flintpasy i ładownice łosiowe, biało farbowane, peluszach suto galonowanych, w szarfach na przepych bogatych, z czerwonego jedwabiu i srebra w siatkę dzierzganych, z kutasami masywowemi; w szlufach na obu ramionach srebrnych masywowych, jako też kurtki i rajtuzy, które od konfederacyi wznowione, stały się strojem wojska polskiego.“



Constantini G. **Powódź.**

wyjąwszy pułk Malczewskiego, który dla dystynkcyi od innych, dał swojemu kurtki paliowe, żupany i rajtuzy zielone.“

„Piechota przybrana była po niemiecku. Rejzrok biały, kamizelka i pludry czerwone, na nogach buty, na głowie kapelusz w trzy rogi zastosowany. Broń, karabin z bagnetem, przy boku pałasz krótki; ładownica czarna skórzana, na pasie łosiowym, żółtą glinką farbowanym, na którą piechotę przekształcili ową piechotę z miast wydanych, szablą, karabinem bez bagneta i berdyszem w ręku uzbrojonych.“

„Oficerowie tak konni jak piechotni, lśnili się od złota i srebra; w haftowanych mundurach, w czapkach złotem lub srebrem haftowanych, w ka-

„Płaca konfederatów: marszałek brał co chciał i oprócz tego, jako pułkownik, na miesiąc trzydzieści czerwonych złotych. Rejmentarz toż samo, gdy wybierając podatki przez swoich oficerów, pierwszym był do nich. Rotmistrz jazdy i kapitan piechoty na miesiąc ośmnaście czerwonych złotych; major obozny to samo; porucznik dwanaście czerwonych złotych, chorąży ośm czerwonych złotych; namiestnik sześć czerwonych złotych, wachmistrz na tydzień dwanaście złotych, towarzysz toż samo, kapral ośm złotych, gemejn cztery złote, trębacz dwadzieścia cztery złotych; — oprócz tego na konie wszystkie szły furaże z magazynów i bardzo często mięsiwa z wołów, z baranów, drobiów rozdawane były,

w marszach zaś wielka wygoda wszystkim od wieśniaków i dworów!!...

Koniec.



Dwie potęgi.

Kroczy przez gruzy wspomnień, przez zwaliska
Pamiątek, śladem klęsk, pobojowiska
Krwawemi drogi, przez bóle cmentarne,
Przez rozmiażdżonych nadziei rupiecie
I plwa i targa i stopam gniecie,
Wołając krzykiem tryumfu: — Na marne! —
To duch zniszczenia.

Z pod jego nogi zrywa się gromada
Młodego ptactwa. Zrywa się i hyża
Próbuje skrzydeł; na gruzach usiada,
Wzbija się w górę nad to, co poniża,
Nad to, co wala — i choć srogie pęta
Bieg j j krępują, choć z skrzydeł pot sączy,
Gromadę ptasząt porywa i łączy,
Myśl odrodzenia

A ona — niegdyś wielbiona jak święta,
Kraina orłów — dzisiaj pominięta,
Zaprzana, patrzy z pod gruzów, w rozdźwięku,
Gdy duch zniszczenia piersi jej przygniata,
Rozpaczliwego nie wydawszy jęku,
Patrzy ku onej, co w górę pod ata,
Gromadzie ptasząt — i bijąc w organy —
Wspomnień — Spojrz woła — Ty, Panie nad pany,
Spojrz na ich wzloty!
W twardej, zdeptanej ziemi tej skorupie,
Spoczął zapomnian — kłos swojskiego żyta;
Z tego, co padło zwalane i trupie,
Nowy liść z ziarnem żywotnem zakwita...
Gromada ptasząt ku piersi macierzy
Spływa cichaczem, a ona muśnięta
Ich skrzydłem - niegdyś wielbiona, jak święta,
Poda im z tajnem zaklęciem kłos świeży...

. . . .

Jest żar, płonący wiecznie w głębi ducha.
Drga, ran, boli, aż w ogień wybucha.
To żar tęsknoty.

Dzierżymir (M. Kierska).



Srebrne gody „Promyka".

„Bo narodu duch zatruty, to dopiero bólów ból" — powiedział słusznie poeta. A zatruwał się duch narodu przez ostatnich lat 40 w Królestwie Polskiem, tej ojczyźnie analfebetów, dzięki zaporom tamującym rozwój oświaty, dzięki hamulcom wstrzymującym rozpęd postępu, dzięki szkole, która ni świarła ni ciepła nie niecąc, warsztatem raczej była małokształcącym umysł, a natomiast wypaczającym i zatruwającym duszę narodu. — Wyrastały tak dwa pokolenia wśród ciemnoty, którą rozjaśniał od lat 25 jeden, jedyny świetlany „Promyk," podpisujący tym pseudonimem artykuły w „Gazecie Świątecznej", wydawanej dla ludu, a zarazem najdoskonalszy „Elementarz" swego pomysłu, którego rozeszło się przeszło 850 000, a zarazem setki tysięcy „Obrazkowej nauki". Z tym elementarzem w ręku, za bydłem chodząc, uczyła się włościańska młodzież pastusza pisać biczyskiem na piasku, a wraz i czytać, a tak zwolna przedzierał się „Promyk" światła do tych dusz ciemnych i umysłów, jakby jasne ostrze pługa, rozorywając urodzajne skiby dla przyjęcia ziarn oświaty, które w nią potem padały nieustannie, rozsiewane pracowitą ręką oracza i siewcy, Konrada Prószyńskiego („Promyka").



Konrad Prószyński (Kazimierz Promyk)
zasłużony redaktor „Gazety Świątecznej" w Warszawie i twórca najlepszego elementarza polskiego.

Urodzony roku 1851 w Mińsku, „nie z soli, ani z roli, ale z tego, co mię boli", już jako kilkoletni chłopiec pojechał z matką i rodzeństwem na Sybir, do Tomska, by tu dzielić los ojca wygnańca. Pod jego to opieką kształcił się wśród myśli powrotu do kraju. Ujrzał go wreszcie w 19-tym roku życia. Po dwuletniej pracy złożył egzamin dojrzałości i wstąpił na wydział prawny uniwersytetu warszawskiego, który ukończył w roku 1876 ze stopniem kandydata. Odtąd zaczęła się cicha jego, a usilna praca nad oświatą ludu, a kluczem do niej wobec zakazu wszelkiego innego publicznego czy prywatnego nauczania poza szkołą rządową, był pomysłowy elementarz „Promyka", w obrazowy sposób ułatwiający nauczanie bez nauczyciela. Tą drogą samouctwa zaczęło tysiące ludzi dochodzić o własnych siłach do umiejętności czytania. Pierwsze próby obrazowej nauki odbywały się na ścianie chaty w jakiejś wiosce w Grójeckiem, gdzie „Promyk" namalował wielkie kolorowe abecadło. Mieszkańcy zaciekawieni gromadzili się dokoła malującego i chętnie słuchali objaśnień. Obudziła się chęć nauki. Początek był zrobiony. Szło teraz o ogarnięcie całego ogółu ciemnego ludu.

Znalazł go „Promyk" w „Gazecie Świątecznej," którą zaczął wydawać w r. 1881, nie bez przeszkód, które zwalczać należało. Obok „Gazety" szły między lud popularne jego broszurki, począwszy od pierwszej „O Staszicu," a tak nawiązywał się coraz ściślejszy, coraz większe koła czytelników w kraju całym obejmujący stosunek z włościaństwem, w którego codzienne potrzeby i zagadnienia życiowe wchodził „Promyk", jako najlepszy jego doradca, przyjaciel i powiernik. Popłynęły ze wsi od ludu zapytania i prośby do „Promyka" w tysiącznych sprawach; nie zabrakło nigdy jego trafnej odpowiedzi. Ankiety, konkursy gospodarskie rolnicze, znalazły już współpracowników i wśród ludu.

Tak pośród tej znojnej pracy na zagonie ojczystym minęło oraczowi-siewcy już dawno południe życia, słońce prawdy kraśnieć zaczęło ognistzemi blaskami na szlakach ku zachodowi zwróconych — aż oto opatrzyliśmy się, że to już nadeszły „srebrne gody" „Promyka" w pracy nad oświatą ludu! I oto setki tysięcy serc uderzyło goręcej, zwracając się ze słowy najgłębszego uznania, z uczuciami najgorętszej wdzięczności do jubilata, a w chwilę tę jubileuszową opromienia srebrną skroń pracownika wieniec zasługi, spleciony z najwdzięczniejszych listów podzięki, napływających setkami i tysiącami od włościan samych, od Czytelników „Gazety Świątecznej" i tylu pożytecznych jego dziełek.

„N. I. K."



Z teki tetryka.

Człowiecze, zanim udasz się do lekarzy, pamiętaj, że Bóg stworzył lekarstwa dla bogatych, zdrowie zaś dla ubogich.

* * *

Samotność jest przyjemnością, której z nikim dzielić nie można.

* * *

Są ludzie, którzy myślą, iż cnota polega jedynie na sądzeniu bliźnich bez pobłażliwości.

* * *

Niekiedy człowiek porzuca szczęście, aby puścić się w pogoń za... szczęściem.

Ćwierć wieku

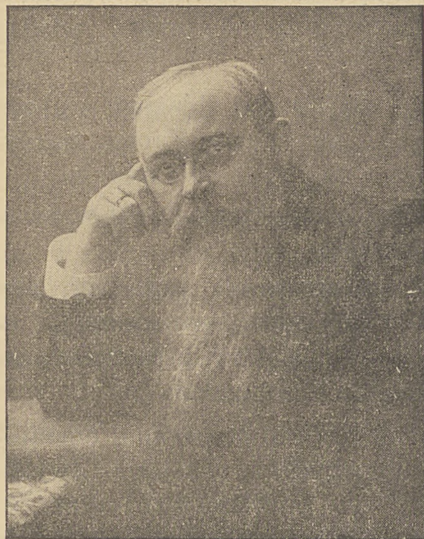
mija od chwili założenia Towarzystwa Czytelni Ludowych w Poznaniu przez grono obywateli pełnych zrozumienia dla naszej najżywotniejszej potrzeby narodowej, potrzeby utrzymania i pielęgnowania języka ojczystego w narodzie.



Dr. Stanisław Jerzykowski.

Do założycieli Towarzystwa Czytelni Ludowych w Poznaniu należeli pp. dr. Stanisław Jerzykowski i dr. Bolesław Kapuściński; obydwaj zostali wybrani do pierwszego Zarządu, w którym do dziś bez przerwy urzęda im powierzone piastują.

Ćwierćwiekową ich pracę około dobra i rozwoju Towarzystwa na tem



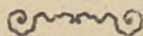
Dr. Bolesław Kapuściński.

miejscu ze szczególnem uznaniem podnieść należy. Przez szereg 25 lat sprawowali dwa najmozolniejsze urzęda, p. dr. Jerzykowski urząd bibliotekarza, p. dr. Kapuściński urząd skarbnika. P. dr. Jerzykowski był oprócz tego przez dłuższy przeciąg czasu członkiem komisyi krytycznej.

Owoc ich pracy był w plon obfity. Z funduszów zbieranych przez skarbnika zakładał bibliotekarz rokrocznie kilkadziesiąt bibliotek nowych, a istniejące nowemi zasilał książkami.

Nie uwłaczając bynajmniej zasługom tych wszystkich, którzy przez czas istnienia Towarzystwa czynnymi byli w Zarządzie, przyznać i uznać należy, że główny ciężar obowiązków spoczywał przez ćwierć wieku na barkach tych dwóch niestrudzonych pracowników.

Ich praca bez rozgłosu, lecz tak obfita w owoce niechaj będzie przykładem i zachętą dla tych, co pracować pragną dla oświaty ludu, a wdzięczność i uznanie narodu będzie ich zapłatą. *Dr. W. C.*



„Nekrolog" partyi centrowej na Górnym Śląsku.

Sprawa górnośląska wywołała z powodu znanego oświadczenia posłów centrowych, o którem pisaliśmy już



Adam Napieralski, naczelny redaktor „Katolika".

niejednokrotnie, w prasie polskiej górnośląskiej obszerną dyskusyą. Rezultatem dyskusyi było zupełne zgodne i stanowcze potępienie tego oświadczenia. „Katolik" nazwał je słusznie — nekrologiem partyi centrowej na Górnym Śląsku. W polityce zatem „Katolika" nastąpił zwrot nader pocieszający.

Naczelny redaktor „Katolika", p. Adam Napieralski, którego podobiznę jednocześnie zamieszczamy, zupełnie zerwał teraz dotychczasową przyjaźń z partyą centrum, która jakkolwiekbądź miała w nim zawsze swego obrońcę. W jednym z ostatnich numerów pisze, że obecnie już nie ma mowy o porozumieniu z centrum. Jeden tylko pozostał na partyę tę sposób: walka z nią. Mamy nadzieję, że „Katolik" pozostanie przy tem stanowisku i pójdzie odtąd pod sztandarem narodowym ręka w rękę z resztą prasy górnośląskiej i polskiej wogóle. *—ski.*



ZŁUDY.

Zapachniało wiosną,
Powiał ciepłem świat...
Już marzenia rosną,
Jak na miedzy kwiat!

Już myśl szmatkiem nieba
Przęśli rojeń nić...
Tak niewiele trzeba,
A tak błogo śnić!

Byle promyk złoty
Ogrzał mroków chłód —
W piersiach z pod tęsknoty
Wstają złudy złud!

(El. K. Laskowski.)



Stolica Apostolska a rozdział kościoła i państwa we Francyi.

Znany już jest powszechnie fakt, że zapadła w izbie poselskiej i w senacie francuskim uchwała, pozbawiająca kościół katolicki we Francyi praw i opieki, jakich tenże doznawał od rządu od czasów najdawniejszych. Uchwalono rozłączyć kościół i państwo. Pozostaje więc odtąd we Francyi sprawa katolicka wyłącznie na opiece społeczeństwa i duchowieństwa.

Wszelkie zabiegi Ojca św. i katolickiej części społeczeństwa francuskiego, by uchwale tej przeszkodzić, pozostały daremnemi.

Tak więc od nowego roku rząd francuski postanowił uchwalone dnia 9-go grudnia 1905 r. prawo oddzielające kościół od państwa wprowadzić w życie.

Znane są spowodowane spisem majątków kościelnych rozruchy we Francyi. Katolicy z oporem walczą o swoje prawa.. Obecnie w walce tej nowy a znamienny zaszedł wypadek.

Oto *Papież* wyświęcił dnia 25-go lutego w bazylice św. Piotra w Rzymie nowych biskupów francuskich; uroczystość owa odbyła się w skromnych ramach ściśle kościelnej ceremonii. Fakt to od wieków niebywały.

Przedewszystkiem bowiem wyświęconych zostało aż trzynastu naraz Bi-

skupów, a powtóre są to Biskupi po raz pierwszy od piątego wieku, na których wyniesienie w takiej liczbie nie miała wpływu ani dyplomacya francuska, ani rząd francuski. Są to Biskupi dla Francuzów, ale nie francuscy, tylko „rzymscy" w ścisłem tego słowa znaczeniu co do mianowania, wyboru, prekonizacyi i konsekracyi. Trzynastu takich Biskupów nowych na raz, to nowa era w katolicyzmie francuskim.

Stolica Apostolska przyznaje wszystkim rządom pewne wpływy przy wyborze Biskupów, Francyi zaś przyznała nawet pewne prawa, tak że Papież mianował Biskupów francuskich zawsze za poprzedniem porozumieniem się z rządem francuskim. Ponieważ zaś obecny rząd francuski odłączył Kościół od państwa, przeto objął wybór Biskupów francuskich Papież sam. I dnia 25-go lutego dokonał Papież osobiście nie tylko wyboru, ale także konsekracyi, t. j. namaszczenia Biskupów. Dotąd namaszczanie nowych Biskupów odbywało się zawsze w Francyi przez starszych Biskupów. Dla tego tę uroczystość należy uważać za rodzaj manifestacyi kościelnej przeciw rządowi francuskiemu, który od kilku lat prowadzi walkę kulturną z Kościołem.

Niezwykłości faktu odpowiadała niezwykłość formy ceremoniału. Zwyczaj a nawet reguła kazały, ażeby Biskupi ci zostali wyświęceni we Francyi w kościele, który ma być ich katedrą, a ceremoniał aktu przywodzi na pamięć oddanie się, do jakiego Biskup jest obowiązany względem swego nowego sanktuaryum. Przytem ceremonia sama stanowiła niejako przywilej arcybiskupa paryskiego, tak, że jeżeli Papież wyświęcał czasem osobiście jakiegoś Biskupa francuskiego z wielkiej arystokracyi, dokonywał tego wyjątkowo i w prywatnej kaplicy swoich apartamentów.

Tym razem jednak Papież wystąpił nie jako głowa Kościoła, ale jako pierwszy Biskup chrześciaństwa, który wyświęcał innych Biskupów-misyonarzy.

Trzy tysiące zaproszonych zgromadziło się w absydzie bazyliki po za grobem św. Piotra, a przed ołtarzem „siedziby apostolskiej," t. j. w którego środku niema żadnego obrazu, żadnej figury świętego, tylko rzeźbione w drzewie, a unoszące się wśród godeł wyobrażenie tronu św. Piotra.

Papież, aby dostać się do absydy, przeszedł pieszo przez bazylikę, wśród dygnitarzy dworskich i szpaleru gwardyi pałacowej. Przy ceremonii obecni byli Kardynałowie Rampolla, di Pietro, Merry del Val, Macchi i Mathieu wśród tłumu pralatów. Nowi Biskupi pomieścili się na stopniach ołtarza.

Podłogę zaścielał ogromny dywan zielony, ze ścian zwieszały się draperye z czerwonego adamaszku, a po lewej stronie ołtarza ustawiono tron papieski, skromny, jak tron biskupi.

Papież wstąpił na stopnie ołtarza z twarzą uśmiechniętą, na której jednak nabrzmiałe żyły objawiały powściąganie wzruszenia, dokonał trzynastu ceremonii namaszczenia, poczem usiadł na tronie i odczytano bulle, mianujące trzynastu Biskupów, którzy z kolei na klęcznikach złożyli przysięgę wierności wiecznej dla Stolicy Piotrowej.

Po kościele powiał niby zapach pleśni wieków: wedle ceremoniału starodawnego nominaci poddani zostali jakby egzaminowi wiary i obyczajów, a na pytania odpowiadali przyrzeczeniem, że w zawarte w nich prawdy wierzyć, a przykazania spełniać będą.

— Czy chcecie być względem biednych przystępni i dobrzy? — Czy chcecie pozostać obcymi wszystkim sprawom tego świata?

— Chcemy! — odpowiada echem chór trzynastu głosów.

Po tym ceremoniale, następuje ceremoniał czternastu mszy, odprawionych równocześnie: Papież i Biskupi odmawiają modlitwy razem, a konsekracya łączy się harmonijnie z aktem ofiary.

W ciągu tego nowi Biskupi przybierają publicznie szaty biskupie, aż do sandałów z białego jedwabiu, aż do krzyża na piersiach i zaledwo przebrzmiało ostatnie „Alleluja" gradualu, kiedy Pius X. się zatrzymuje i powtarza Biskupom ich obowiązek w formule, która ma dziewięć wieków:

— Biskup ma sądzić, tłomaczyć, wyświęcać, polecać sprawować ofiarę, chrzcić i bierzmować.

I msza zbiorowa trwa dalej, aż wreszcie wszyscy Biskupi padli na twarz, a na ramionach każdego z nich złożono księgę ewangelii, jak na żywych pulpitach wiary i prawdy ewangielicznej...



Wyświęcenie trzynastu biskupów naraz.

Grupa nowych biskupów dla Francyi, wspólnie wyświęconych w Watykanie przez Piusa X.

Wreszcie Papież i dwaj jego asystenci dotykają głowy każdego z Biskupów, mówiąc: „Przyjmij Ducha św." i z tą dopiero chwilą nowi Biskupi wchodzą w pełnię praw i władzy swojej.

Iżbyś się nie stał zbiegiem z obozu prawdy! — przemawia Papież, zatrzymując się przed każdym z osobna.

Po trzech namazaniach akt wyświęcenia dokonany.

Biskupi otrzymują pastorały, aby rządzili z „miłosierną surowością," ewangelię, aby ją prawili, pierścień, jako zaślubieni z Kościołem.

W tem miejscu ceremoniał odstąpił od starodawnych zwyczajów. Zwykle konsekrowany opuszcza swój ołtarz, ażeby pójść dokończyć mszy przy jednym ołtarzu z konsekrującym, z jedną hostyą na patynie, z winem w jednym wspólnym kielichu. Symbol ten wyraża zrównanie w funkcyach biskupich. Lecz tym razem konsekrowani nie stają się równymi konsekrującemu, każdy więc do końca mszy pozostaje na swojem miejscu.

Pius X. udziela wreszcie błogosławieństwa obecnym, a wedle ceremoniału nowi Biskupi powinni też udzielić pierwszego swego błogosławieństwa.

Jednak w obecności Papieża nikt nie ma prawa błogosławienia.

W końcu nowi Biskupi przyklękają z kolei przed Papieżem, składając mu życzenie: „Ad multos annos“ (długich lat) i na tem zakończyła się uroczystość konsekracyi nowych Biskupów dla Francyi.

Towarzystwo Muzyczne w Poznaniu.

Rok 1905 zapisze się w dziejach Towarzystwa Muzycznego pamiętnemi głoskami. Z zupełnej prawie ruiny obudziło się Towarzystwo znów do nowego życia, a owoce pracy jego dotychczas osiągnięte, pozwalają rokować najlepsze na przyszłość nadzieje.

Wskutek różnych nieprzyjaznych okoliczności, mianowicie też dla tego, że orkiestra Towarzystwa w sezonie 1904/5 nie grała w Teatrze Polskim, Towarzystwo Muzyczne z początkiem r. 1905 znalazło się w bardzo krytycznem położeniu. Wszystkie fundusze były wyczerpane na utrzymanie pozostających bez zarobku członków orkiestry, a nie chcąc dopuścić do rozwiązania tejże, zarząd widział się zmuszonym zaciągać pożyczkę po pożyczce. Suma długów Towarzystwa doszła w ten sposób do pokaźnej wysokości, a nie można było przewidzieć, w jaki sposób opłakane te stosunki się naprawią.

Tak stała sprawa w kwietniu 1905 roku.

Widząc nieuniknioną ruinę Towarzystwa przy dalszem prowadzeniu jego spraw w ten sposób, część zarządu dała inicyatywę do koniecznych reform. Po licznych zebraniach Zarządu i dokładnem zbadaniu stanu rzeczy, skład zarządu zmienił się o tyle, że dotychczasowy prezes i organizator orkiestry p. Dr. Jarnatowski oraz p. Mieczysław Eichstaedt złożyli swe urzędy w Zarządzie. Prezesem obrano p. prof. Dr. Drygasa, który z zapałem i poświęceniem zabrał się do sanacyi Towarzystwa. Od tej chwili rozpoczęła się też prawidłowa praca Zarządu, który w przeciągu 8 miesięcy odbył 18 zebrań zwyczajnych i 3 walne.

Nowy Zarząd zajął się przedewszystkiem orkiestrą, którą zastał w zupełnej dezorganizacyi, nie ćwiczącą regularnie, a stojącą pod względem artystycznym na bardzo niskim stopniu. Założono więc ćwicznię w lokalu umyślnie na cel ten najętym, ponieważ dotychczasowe ćwiczenia w restauracyi bardzo ujemnie wpływały na kapelistów. Ćwiczenia odbywają się teraz regularnie pod dyrekcyą pana Ponieckiego, a nadzorem członków Zarządu w prywatnem mieszkaniu, które Towarzystwo subwencyonuje.

Aby zapewnić orkiestrze na przyszłość dzielnych kapelistów, rozbudzić zamiłowanie do muzyki i ją popularyzować, otworzył Zarząd głównie staraniem prezesa *szkołę muzyki instrumentalnej*.

Szkoła ta ma już teraz 72 uczniów, z których 33 pobiera naukę bezpłatnie.

Na skrzypkach uczy się 50 chłopców; z tych bezpłatnie 15; na fletach 4, bezpłatnie 4; na trąbach 8, bezpłatnie 6; na eskornetach 2, bezpłatnie 2; na tenorach 4, bezpłatnie 3; na klarnetach 4, bezpłatnie 3.



Orkiestra Towarzystwa Muzycznego w Poznaniu.

Orkiestra składa się z 24 kapelistów. Z nich grywa w Teatrze Polskim 16. Dyrygentem jest p. Poniecki. Dzięki systematycznym ćwiczeniom, zapewnieniu stałego dochodu i starannemu doborowi kapelistów, orkiestra w krótkim czasie zrobiła nadzwyczajne postępy, a obecnie nie tylko zupełnie się wprawiła, ale w swym zakresie zadowalnia i najwybredniejsze gusta.

W latowych miesiącach orkiestra grywała na zabawach Towarzystw oraz w ogrodach Domu Przemysłowego i pana Krenza (przy placu Wilhelmowskim), gdzie cieszyła się wielkiem powodzeniem. Choć dla szczupłych funduszów, nie pozwalających na utrzymanie większego kompletu, musiała się ograniczyć głównie na Poznań, orkiestra wzięła jednak także udział w kilku uroczystościach na prowincyi i to: na zjeździe Kół Śpiewackich w Śremie i w Miejskiej Górce, na złocie Sokołów w Obornikach i w kilku mniejszych obwodach po za obrębem Poznania.

Na sezon zimowy zajęła orkiestra znowu dawniejsze stanowisko w Teatrze Polskim, gdzie w międzyaktach jako też do przedstawień operetkowych i operowych grywa z wzrastającem powodzeniem.

Dochód orkiestry wynosił w roku 1905: Mk. 12,433,23.

Punktem kulminacyjnym działalności Towarzystwa w roku 1905 był pierwszy od założeniu koncert artystyczny na sali Lamberta, który udał się znakomicie. Ze solistów wzięli w nim udział p. Skarżyński z Krakowa, panna Dutkiewiczówna z Drezna, oraz bezinteresownie panna Halina Drygasówna z Poznania. Pan Ludwik Broekere akompaniował artystom. Orkiestra zaś odegrała nader udatnie uwerturę do „Halki.“

Prócz wielkiego moralnego sukcesu, osiągnęło Towarzystwo także korzyść materyalną, bo do kasy wpłynęło blisko 200 mk. czystego zysku.

Finanse Towarzystwa, dzięki silnej agitacyi w zyskiwaniu nowych członków, oraz znanej ofiarności naszego społeczeństwa, znacznie się poprawiły, choć całkowicie długów umorzyć się nie udało.

Z Zarządu zeszłorocznego wystąpili pp.: Dr. Jarnatowski, M. Eichstaedt, B. Dembiński, mocą zaś uchwały Walnego Zebrania z 12. X. 1905 r., według której tylko członkowie płacący składki, uprawnieni są do czynnego i biernego wyboru przestali być członkami dotychczasowi dwaj członkowie orkiestry. Zarząd kooptował więc pp.: Dr.

M. Szulca, B. Ruczyńskiego, L. Broekerego, A. Chwałkowskiego i szambelana Cegielskiego, z których znów później ustąpili pp. Broekere i Ruczyński.

Liczba instrumentów wzrosła o 2.

Zapas nut (216) powiększony został przez dar pana Władysława Szynkowskiego, wyższego asystenta cłowego z Hamburga, który ofiarował 12 sztuk na orkiestrę wartości 80 mk. Za dar tak hojny zapisano w poczuciu wdzięczności p. Szynkowskiego w poczet dożywotnich członków Towarzystwa.

Członków liczy Towarzystwo 22 dożywotnich, 403 zwyczajnych oraz jednego członka honorowego: Ignacego Paderewskiego.

Choć z uznaniem podnieść należy, że społeczeństwo nasze wielką okazało ofiarność dla Towarzystwa Muzycznego w ciężkich dla niego czasach, to jednak w porównaniu do poparcia moralnego i materyalnego, jakiem się cieszą Towarzystwa muzyczne we Lwowie, Krakowie, lu bWarszawie, przyznać trzeba, że u nas daleko do tego zainteresowania, na jakie Towarzystwo nasze, tak ważną zajmujące pozycyą, zasługuje. Dla tego zanosimy do publiczności naszej gorącą prośbę, aby zechciała i nadal *popierać* datkami nadzwyczajnemi, zapisywaniem się na członków, jako też uczęszczaniem na koncerty dążności Towarzystwa muzycznego. Składka roczna wynosi dla członków zwyczajnych 3 mk., z rodziną 5 mk., dla dożywotnich jednorazowa 50 mk.

Członkowie mają prawo do biletów w *połowie* ceny na wszelkie koncerty i obchody Towarzystwa.

Gorzkie żale.

Z życia.

Szła zamyślona, ciężkim zgnębiona smutkiem. Kilka miesięcy temu straciła córkę, ukochaną Maryjkę. Z odejściem dziecka wszelka radość opuściła jej dom tak niegdyś szczęśliwy. Nawet miłość, łącząca ją dotychczas z mężem, znikła jak sen zwodniczy. Bez żadnego widocznego powodu, bez sprzeczki i wymówek ostygli dla siebie.

Z chwilą zgaśnięcia wspólnego szczęścia, zgasło wzajemne przywiązanie, stawali się niemal wrogami. W milczeniu zasiadali do posiłku, spożywali go w ciszy nieprzerwanej, potem rozchodzili się do swoich zajęć.

Ponura, groźna śmierć dziecka odpychała ich od siebie. Rozdzielało ich blade widmo ukochanej istoty, która za życia zaciskała węzeł wzajemnej sympatyi.

Niegdyś, dzień zaczynali pieszczotą Maryjki, przy każdem spotkaniu mieli sobie zawsze coś wesołego, nieraz ważnego, do powiedzenia o jedynaczce.

Teraz imienia jej nie wymawiali, pomimo, że obojgu nie ustępowało z myśli...

Jak straszny był dzień, w którym dostała gorączki!...



Pod krzyżem.

Rozpalone rączyny trzymała w ich dłoniach, mówiąc stłumionym głosikiem:

— Mamusiu! Tatusiu! tak mnie pali, pić, pić!

Ratowali jak umieli... ile sił starczyło...

Wiedza — najsubtelniejsza troskliwość — nieustanna opieka — nie pokonały choroby...

Na cóż przydały się obojgu doktoraty lekarskie, otrzymane w Zurichu, gdyż poznali się, pokochali, a po ukończonych studyach pobrali.

Życie śmiało się do nich rozkosznie... kochali się szczerze... Zarabiali oboje coraz więcej. Otoczyli się wygodami i mogli wspierać hojnie instytucye użyteczności publicznej. Lubili pracę, a wielkiego bogactwa nie pragnęli.

Skarbem ich najdroższym była Maryjka, przemiłe, słodkie dziewczę, cudny kwiat rozwijający się w słońcu miłości... Widomy dowód ich rozkosznych, młodzieńczych uniesień...

Tyfus... potworna choroba nie znająca litości nad jedynem dzieckiem... Zjadliwa żmija, przyniesiona córce przez rodzonego ojca, ze szpitala, w którym był naczelnym lekarzem...

A tak prosiła, błagała męża, aby przed powrotem do domu staranną przeprowadzał dezinfekcyą i chociaż krótką odbywał przechadzkę.

Wyśmiewał jej obawy, irytując się nawet czasem.

Teraz, po niewczasie, rozpacza... A chcąc winę zrzucić z siebie, podejrzywał ją, że zmieniła ordynowane przez niego lekarstwo. I wmawiał w nią to, wiedząc doskonale, że nieprawda.

Ona spełniła sumiennie wszystko, co uradzili oboje wraz z wezwanymi na konsylyum kolegami... Ale choroba przemogła...

Maryjka umarła... a ona żyje... po co?

Dziw, że nie zaraziła się od córeczki? ciągle przy niej była, prześcielała łóżeczko, pieściła. Sama włożyła do trumienki... I nie zaraziła się... Czemu?...

Nawet śmierć, z objęć dziecka przybywająca, byłaby dla niej słodką.

Wraz z życiem straciłaby uczucie okropnego smutku, który wzmaga się prawie z dniem każdym, oddalając ją coraz bardziej od Maryjki... zacierając w pamięci drogie rysy...

Traci ją coraz aktualniej... przestrzeń rozdzielająca powiększa się ciągle, odsuwając obraz dziecka w dal nieskończoną, nieobecność jego czyniąc pewniejszą, rzeczywistszą...

Zrazu, zdawało jej się co chwila, że tuż, obok Maryjka stoi... tylko potrzebuje zwrócić głowę, aby ją widzieć....

Nieustanne złudzenia... i wnet, rozczarowanie przeszywające serce bólem zagłębianego w niem ostrza noża...

A jednak te ciągłe spazmy rozpaczy, poprzedzane chwilą słodkiego złudzenia, znośniejsze były od teraźniejszej, beznadziejnej pustki, wiejącej grobowym chłodem, wstrząsającym ją nerwowym dreszczem.

Gdyby Maryjkę ujrzeć choć we śnie!...

O, przyjdź, zamknij spłakane oczy, przytul do serca, dziecino! kochanie ty moje!...

. . . .

Nawet praca, wypróbowana przyjaciółka, pocieszyć jej nie może.

Pracując bez wytchnienia, zmizerniała, wychudła, ale pomimo to żelazne ma zdrowie... Tak, zdrowie ciała, ale dusza chora...

Dusza chora? jakaż niedorzeczność! kto widział lub słyszał duszę?

Pochyliła głowę niżej, idąc coraz bardziej znękana.

Jak jej ciężko wracać do pustego domu... Odwiedziła wszystkie swoje pacyentki... Tak wielkie czuje zmęczenie, radaby spocząć, ale siła jakaś niewidzialna odpycha ją od najkrótszej do mieszkania drogi.

Wspomnienia ostatnich czasów niedoli wieją na nią ze wszystkich kątów... każdy sprzęt mówi do niej o stracie niepowetowanej.

Pokój szkolny Maryjki wieje pustką... książki, globus, zeszyty, pióra leżą, nieporuszone, sama zlekka zmiata pyły, nikomu tknąć nie wolno, czasem lekko dotknie ustami przedmiotu używanego przez dziecko... tak lekko, aby nie zetrzeć dotyku ukochanych paluszków Maryjki....

Kanapka, na której siadywały razem o szarej godzinie na pieszczoty i rozmowy poufne... Niezajęte miejsce przy jadalnym stole.... Wszystko, wszystko w domu przypominało jej o bolesnej, nieodżałowanej stracie ukochanej dzieweczki.

I tak ciągle, bez wytchnienia czuła dojmujący ból, uczucie trudne do określenia, jakąś próżnię w sercu, pustkę, jakąś nudę straszną, przejmującą nie tylko myśl, ale płynącą wraz z krwią okrążającą ją z powietrzem, w niej, w koło niej, wszędzie... streszczającą się w słowach:

Maryjki nie ma!

. . . .

Mąż milczący, chmurny, nieprzychylny, pustkę domową czyni jeszcze okropniejszą...

Opuszcza dom z uczuciem ulgi, a powrót każdy jest wstrząśnieniem tragicznem...

Do krewnych, znajomych, nie pójdzie. Rozmowa, zapytania, pocieszanie, gdy pociechy być nie może, rozstrajają, denerwują do ostateczności.

Woli pozostać dłużej na przechadzce. Iść, iść, aż do wyczerpania sił, aż do zmęczenia ostatecznego, aby znieczulić, ubezwładnić choć trochę gryzącą myśl...

Mijała szybko znane osoby, unikając rozmowy, ale bolały ją rzucane na nią spojrzenia.

Ruchu i turkotu powozu nie znosiła od dnia pogrzebu córeczki...

Jechali z cmentarza do pustego domu, zgnębieni bez miary i rozżaleni do siebie...

Ona przynajmniej miała słuszny żal za przyniesienie zarazy. Ale czego mąż chciał od niej?...

Jak strasznym był ten powrót!

Jeszcze dzisiaj dudni jej w uszach odgłos kół, oddalających ją za każdym obrotem od Maryjki, zostawionej samotnie w zimnym, ciemnym grobie.

Strach! co tam się teraz dzieje!...

Wstrząsnęła się dreszczem od stóp do głowy, dreszczem okropnej pewności rozkładu ukochanego ciała.

Zachwiała się i oparła o mur najbliższego budynku...

Stała chwilę, niemal bezprzytomna, jak skamieniała... powoli budzić ją zaczęła z odrętwienia smętna melodya choralnego śpiewu.

Płynęła z głębi ,działając uspokajająco na jej nerwy stargane do ostateczności.

Spojrzała uważnie na mur służący jej za oparcie, poznała kaplicę gimnazyalną, wystawioną niedawno ze składek, do których i ona przyczyniła się — co prawda niechętnie.

Szpitali, ochronek, szkół ludzkość potrzebuje, więc spełniając tyle użytecznych prac w kościołach nie bywała.

Dom, dziecko, mąż, chorzy, wreszcie dobroczynne zakłady i ubodzy — wszakże to ogrom pracy.

Udziału w składce nie mogła jednak odmówić. W prowincyonalnem mieście niepodobna wypowiadać jasno skrajnych przekonań, rażących ogół. Mogłoby to zachwiać jej wpływ na sprawy inne, ważniejsze.

Odstąpiła od muru, aby iść dalej, nogi jednak zachwiały się pod nią, opanowało ją osłabienie tak silne, że postanowiła wejść do kaplicy dla wypoczynku.

We drzwiach uderzyło w nią ciepło, wiejące od licznego zgromadzenia.

Usiadła przy wejściu, wodząc bezmyślnym wzrokiem po rozmodlonym tłumie.

Jedni pochylali głowy w cichem skupieniu, inni wznosili je, zawodząc smętnie, pełne ekstazy tony wielkopostnej pieśni.

A wszyscy tak byli skupieni w sobie, że w tem licznem rozśpiewanem i rozmodlonem zgromadzeniu uczuła spokój samotności, błogiej niemal, bo pozbawionej przykrego uczucia pustki.

Głośny śpiew nie tylko nie drażnił jak uliczny gwar, ale sprawiał jej ulgę, koił zbolałe serce, wchłaniając ją prawie w jakąś nieznaną dotychczas atmosferę duchowego ciepła, wpływającą z jakiegoś zbiorowego czucia, tętniącego wspólnem, jednakiem biciem ogromnego serca tłumu.

Wyrazem spójni duchowej była pieśń .

Głosy wprawdzie nie zlewały się w skończenie estetyczną, wyuczoną całość jak w artystycznym chórze, ale natomiast brzmiały inną, świadomą siebie spójnią, tworząc pieśń potężną, porywającą magnetyczną siłą.

Lud zwracał się w stronę ołtarza, ale śpiew wzbijał się pod sam szczyt kopuły, przenikał jej wiązanie, lecąc w dal nieskończoną, nieznaną dla niej; ale widoczną, pewną dla śpiewających. Odczuwała to z akcentu ich głosów, które brzmiały pokorą, wiarą, miłością.

Leciały wysoko, coraz dalej od niej, niedoścignione.

Szary zmrok zapełniał kaplicę, biława para unosiła się nad głowami zebranych. W dali migotliwe płomyki świec rzucały mistyczne blaski na statuetkę młodzieńczej Madonny.

Stała na kuli, w gotyckiej wnęce, trochę naprzód podana, jakby stąpić miała do rozmodlonego ludu, wznosząc nad nim złożone nabożnie dłonie, wzrokiem wskazując nieskończoność.

Posąg nie był dziełem sztuki, ale rozmiary miał dobre, a z milutkiej twarzy wiała naiwna szczera pobożność.

Płaczą rzewnie aniołowie,
A któż żałość ich wypowie,
A któż żałość ich wypowie?...

Błądząc wzrokiem po ścianie,

wśród rozwieszonych na niej żałobnych wieńców rozpoznała jeden, złożony kilka miesięcy temu na trumience Maryjki przez koleżanki jej z pensyonatu.

Z bolesnem ściśnieniem serca, powtórzyła w myśli słowa pieśni:

A któż żałość ich wypowie?...

Śpiew płynął dalej:

Opoki się twarde krają,
Z grobów umarli powstają...

—Maryjka nie wstanie — myślała z bólem przejmującym — nigdy! nigdy jej nie zobaczę!...

— Gdybym choć we śnie ujrzeć ją mogła!...

Ciche łkanie podniosło jej pierś, zakryła oczy, pogrążywszy się w toni smutku, nie rozumiejąc prawie dalszych słów pieśni... Ale z melodyą choralu jej udręczone serce rwało się w dal nieznaną, do ukochanej a utraconej...

Łzy napełniały oczy, a myślą targało pytanie:

Gdzie ona? dziecko moje! krew krwi mojej! ukochanie! nadzieja! stracone szczęście!

Znów usłyszała wyraźniej:

Uderz Jezu bez odwłoki
W twarde serc naszych opoki...

— Tak, stwardniały serca im obojgu od strasznego ciosu... Ona przynajmniej ma słuszny żal do męża, ale co on ma do niej?...

Jezu we krwi ran Twoich
Obmyj duszę z grzechów moich...

— Nic nie ma sobie do wyrzucenia, pilnowała dziecka dniami i nocami, wypełniała drobiazgowo wszystko, co uradzili z mężem...

Upał serca mego chłodzę,
Gdy w Twej męki przepaść wchodzę...

— Męka straszna, zmódz, stłumić jej niepodobna!

Ale mąż cierpieć musi jeszcze silniej, bo oprócz bólu po stracie Maryjki, wyrzuca sobie nieuwagę... Może dla tego właśnie i ją chciał widzieć współwinną?... może przeczuwa jej żal do siebie i milcząc schodzi jej z oczu?..

A jej nie przyszło to na myśl do tej pory... Czemuż?... Tak zacięła się w żalu serdecznym, w żałobie osieroconego macierzyństwa, że serce jej na razie nie zdoła odczuć bólu najdroższego przyjaciela, a myśl stroskana nie miała siły zgłębić jego myśli, w których tak łatwo dawniej czytała... Biedny... jak on cierpi... ogromnie... Powinna mu pierwsza podać rękę... zrobi to dzisiaj... Jak mogła nie uczynić tego dotychczas...

Podniosła nabrzmiałe płaczem powieki. Święta Dziewica stała jak pierwej, tylko wraz z pieśnią płynęły teraz do niej wonne obłoki kadzidła, gęsto kłębiły się u jej stóp, a wznosząc w górę stawały się coraz lżejsze, po płomieniach świec słaniając się lekką, różową gazą...

Ach! twarz Madonny drgnęła, uśmiecha się do niej, spogląda takim drogim, kochanym wzrokiem...

— Maryjka! — szepnęła w zachwycie i padła zemdlona...

St. Korczak.



Nasza ofiarność.

Złożono do dnia 26-go marca włącznie:

Na urnę srebrną dla hetmana Żółkiewskiego: 1 rr.

Na Macierz Szkolną w Królestwie, 297 mrk 68 fen.

Na Tow. Pomocy Naukowej Karola Marcinkowskiego
a) dla chłopców 2 mr.
b) dla dziewcząt 10 mrk

Na Czytelnie Ludowe 23 mr.

Na „Straż": dotychczas złożono 11 mr.

Na stacyą kolonii wakac. „Stella"

Na „Gniazdo"-budowę sali „Sokoła" w Poznaniu 2 mrk.

Na elementarze dla biednych dzieci 18 mrk. 50 fen. Sumę tę wręczyliśmy komu należy.

Na rodzinę Jana Wyciska: N. N. z Wróblewa 2 mrk. Razem złożono 106 mk 50 fen. Z tej sumy wysłaliśmy dnia 22-go grudnia dla pani Wyciskowej 74 mk 65 fen; pozostaje mrk. 31, 85 fen.

Na Weteranów
z roku 1848-go
razem wpłynęło dotychczas 2 mrk.
„ 1863-go wpłynęło dotychczas 73 mrk 77 fen.

Z tej sumy wypłaciliśmy komu należy 53 mrk. 20 fen; pozostaje mrk 13,55 fen.

Na rodziny skazańców w Gliwicach 21 mrk. 5 fen.

Na budowę kościoła w Żninie

Na odnowienie Wawelu w Krakowie 2 mrk.

Na głodnych w Królestwie: 331 mrk. 16 fen.

Na zgłodniałych nauczycieli w Królestwie: 10 mrk.

Na rodzinę robotnika Karola Piotrowskiego, zamordowanego w Warszawie przez socyalistów: 12 mr.25 fen.

Dla banity kaleki bez nóg Walentego Półtoraka: razem wpłynęło 5 marek.

Wiadomości literackie i artystyczne.

— „Jeremiasz", dramat poetyczny w 4 aktach, osnuty na tle biblijnem. Opracował i wydał swoim nakładem ks. prob. Nowakowski ze Solca. Cena 50 fen. Czysty dochód przeznaczony na budowę kościoła w Solcu nad Wisłą (Schulitz).

Część muzyczną opracował ks. prob. Klein z Brzyskorzystwi, znakomity muzyk kościelny.

Dramatowi życzyć należy, aby znalazł należyte rozpowszechnienie, nie tylko ze względu na jego zalety, ale przedewszystkiem ze względu na cel szlachetny, któremu jest poświęcony.

Do nabycia w księgarni św. Wojciecha w Poznaniu, w księgarniach: „Dziennika Kujawskiego", pana J. Wiśniewskiego w Gnieźnie, p. Zabłockiego w Toruniu i u autora.

„Przewodnika zdrowia", zeszyt na marzec (nr. 3) (Czarnowski Berlin Weissenburgerstr. 27) wyszedł i zawiera następującą treść: Abecadłowy spis chorób z podaniem odpowiednich środków roślinnych. Mieszanki herbatne na różne cierpienia. — Składniki niektórych stosunkowo drogich środków tajemnych, zachwalanych w inseratach dziennikarskich. — Przestrogi i rady. — Rozmaitości. — Piśmiennictwo. — W dodatku: O krzyczącej niedorzeczności i strasznej szkodliwości szczepienia ospy.

Nekrologia.

† Ś. p. *ks. Juliusz Kegel*, proboszcz emeryt i jubilat, umarł dnia 18 go z m. w Krotoszynie w 80ym roku życia. Był to duszpasterz zacny, który się cieszył wielkim poszanowaniem. Spokój jego cieniom!

W następnym numerze zamieścimy jednocześnie z portretem ś. p. ks. Juliusza Kegla wspomnienie pośmiertelne.

† Ś p. *Waleny Karas*, dnia 12 go z. m. w Bninie.

† Ś. p. *Maria z Wilmanowiczów Ruszczyńska*, dnia 13-go z. m. w Sławoszewie w 59-ym roku życia.

† Ś. p. *Alfons Misiorny*, alumn seminaryum duchownego w Poznaniu, dnia 12 go b. m. w Wrocławiu.

† Ś. p. *Ksawery Zdrankowski*, weteran z roku 1848-go, dnia 15-go z. m. w Gnieźnie.

† Ś. p. *Mieczysław Putiatycki*, dnia 16-go z. m. w Lesznie w 43-im roku życia.

† Ś. p. *Józef Brojerski*, dnia 16-go z. m. w Poznaniu.

† Ś. p. *Władysław Urbański*, dnia 17-go z. m. w Poznaniu w 32-ym roku.

† Ś. p. *z Glatzlów Getruda Switalska*, dnia 25-go z. m. w 33-im roku życia w Krobi.

†Ś. p. *Jan Szczesnowski*, dnia 20-go z. m. w Poznaniu w 84-ym roku życia.

† Ś. p. *Stefan Januszewski*, dnia 20-go z. m. w Dziedzinkach 20-ym roku życia.

† Ś. p. *Augusta z Lindnerów Pache*, dnia 20-go z. m. w Poznaniu w 85-ym roku życia.

† Ś. p. *Adam Tuszewski*, dnia 22-go z. m. w 30-ym roku życia w Poznaniu.

Dział rolniczo-ekonomiczny.

Wybory do Izby rzemieślniczej.

Dochodzi nas następująca odezwa:

Odwołując się na naszą odezwę z dnia 10-go marca rb. w sprawie wyborów do poznańskiej Izby rzemieślniczej upraszamy raz jeszcze członków zarządów cechowych i w ogólności rzemieślników, ażeby zajęli się w mowie będącemi wyborami, gdyż czas nagli. Data wyborów dotąd nie oznaczona. Wybiera pięć okręgów 14 kandydatów, jak to w naszej pierwszej odezwie zamieszczonej w pismach ogłosiliśmy.

Dotąd nic nie słychać, ażeby po miasteczkach prowincyonalnych zajęto się temi wyborami. Mianowicie nie ustanowiono na poszczególne okręgi listy kandydatów. Prosiliśmy, ażeby w sprawie poczynionych kroków agitacyjnych do wyborów nas poinformowano, albo zażądano wyjaśnień, na to odebraliśmy tylko trzy listy. Niewiadomo nam więc nic, czy rzemieślnicy w poszczególnych okręgach, a mianowicie zarządy cechów już się porozumiały. W danym razie służymy wyjaśnieniami i kandydatami z Poznania.

Raz jeszcze odzywamy się gorąco do Zarządów cechów, ażeby się zajęły wyborami Izb Rzemieślniczych, inaczej spotka nas zupełna klęska nawet w najpewniejszych naszych okręgach. Wszelkie listy prosimy przysłać pod adresem: *J. Grajkowski, Poznań, Wrocławska ulica 12.*

Komitet.

Chociszewski Stefan. Filipowicz Teodor. Górski Feliks. Grajkowski Jan. Miklaszewski Ludwik. Stolpe Stanisław. Węcławski Antoni.

ODEZWA
w sprawie odbyć się mającej wystawy przemysłowej w Kościanie.

Polskiemu przemysłowi cześć!

W celu ożywienia i podniesienia popytu na wyroby przemysłowców i rzemieślników polskich w Kościanie, postanowiło niżej podpisane Towarzystwo w pierwszej połowie maja rb. urządzić w Kościanie *wystawę przemysłową w połączeniu z wystawą przemysłu domowego i robót kobiecych.*

Żywimy tedy niepłonną nadzieję, iż prócz członków podpisanego Towarzystwa także wszyscy pp. przemysłowcy i samodzielni rzemieślnicy polscy w Kościanie w projektowanej wystawie chętny wezmą udział.

Pokażmy Szanowni Koledzy, iż miasto nasze pod względem przemysłowym nie odgrywa biernej roli. Podajmy sobie bratnie dłonie i złóżmy publiczne świadectwo, iż godnie reprezentujemy handel i przemysł polski. Niech wystawione przez nas wyroby i przedmioty służą za niezbity dowód, iż możemy równie śmiało stawić czoło konkurencyi obcej jak niemniej tak powszechnie zachwalanemu przemysłowi fabrycznemu.

Przez ogólny i solidarny udział w wystawie najlepiej przekonamy szerszą publiczność, która z nieświadomości często potrzeby swe u nieswoich lub u przemysłowców zamiejscowych załatwia, iż niepotrzebnie dotąd może pieniądz gdzieindziej wywoziła.

Pragnąc, by wystawa nasza wiernem była odbiciem przemysłu polskiego w miejscu, zapraszamy niniejszem jaknajuprzejmiej i *Panie nasze* do łaskawego współudziału w wystawie. W chwilach wolnych od zajęć gospodarskich Panie nasze składają zdumiewający nieraz dowód cierpliwości i poświęcenia w celu przyozdobienia domu itp. w niekosztowny a praktyczny sposób. Z wdzięcznością przyjmiemy każdy przedmiot czy robótkę ręcznie wykonaną. Spodziewamy się przeto, iż Panie nasze nie odmówią nam swego życzliwego poparcia i tem samem wystawie naszej przysporzą pożądanego wielce uroku. Członków naszych zaś wzywamy, aby z swej strony wobec żon i córek swych nie szczędzili gorących słów zachęty w tym względzie.

W przekonaniu, iż gorąca nasza prośba odniesie skutek pożądany oraz, że tegoroczna wystawa przemysłowa w Kościanie równie korzystnie oddziała na wszelkie gałęzie rzemiosła i przemysłu naszego, jak przed 20 laty przez nas urządzona, prosimy szanownych wystawców płci obojga, w celu należytego podziału miejsc o jak najwcześniejsze zgłoszenia, które do 15 kwietnia rb. najpóźniej przyjmują sekretarz Tow. naszego p. K. Tadeusz przy ul. Poznańskiej i członek komisyi wystawowej p. K. Gąsowski jun. w Rynku.

A więc do dzieła Szanowne Panie i Koledzy!

Szczęść Boże naszej pracy!

Zarząd.

Nowy polski przemysł fabryczny w grodzie Lecha.

Coraz bardziej wzrastający handel nasz detaliczny i hurtowny konieczną odczuwa potrzebę fabryk polskich. Miliony marek płyną rok rocznie bezpowrotnie hen daleko do głębi Niemiec lub za granicę, bo kupiec Polak tysiące najpotrzebniejszych artykułów w kraju nabyć nie może. Dzięki fachowemu wykształceniu, dzięki pracowitości i rzutkości młodszej generacyi, z handli detalicznych wyrosły poważne firmy hurtowne, skutecznie stawiające czoło wszelkiej obcej konkurencyi. Dla czego więc nie zakładamy fabryk, zapyta niejeden, nie wtajemniczony w sprawy te. Otóż jak wszystko w świecie tak i handel i przemysł w każdym kraju, w każdej nieomal dzielnicy osobną ma swą historyę, odrębne musi przechodzić fazy rozwoju. Handel i przemysł w dzielnicy naszej w wyjątkowem jest położeniu, my skazani jesteśmy tylko na własne siły. — Jeszcze przed laty kilkudziesięciu nie mieliśmy prawie żadnego handlu polskiego, trzeba więc było zacząć od zakładania handli detalicznych, z których wyłoniły się handle hurtowne a teraz dopiero mając grunt przysposobiony, na którym przemysł fabryczny oprzeć się może, śmiało zabrać się może, śmiało zabrać się możemy do fabrykacyi.

Z tej wychodząc zasady znany z przedsiębiorczości swej p. Piotr Zwierzyński, właściciel drogeryi, zakłada w bieżącym miesiącu w Gnieźnie przy ul. Fryderykowskiej we własnym domu wielką nowocześnie urządzoną fabrykę mydła domowego, toaletowego i pokrewnych chemicznych produktów. Bogate posiadając w branży tej doświadczenie i znając trudności i pewne uprzedzenie nawet w kołach rodaków do przemysłu polskiego, p. Z. nie pominął najmniejszej drobnostki, by fabrykę swą postawić od razu na wysokości, równającej się pierwszorzędnym fabrykom w Niemczech. To też fabryka jego będzie dla znawców ostatnim wyrazem techniki, a znając przytem rzetelne zasady prowadzenia interesów p. Z., należy się spodziewać, że nowe przedsiębiorstwo swoje doprowadzi wkrótce do rozkwitu, chlubę przynosząc przemysowi polskiemu.

Trzaska.

(*„Przegląd Kupiecki“*).

DZIAŁ KOBIECY.

Towarzystwo opieki nad biednemi dziećmi.

Istniejące w Poznaniu od roku Towarzystwo, którego zadaniem jest wykonywanie opieki nad dziećmi katolickiemi w zakresie objętym ustawą opiekuńczą i odnośnemi miejskiemi przepisami, — odbyło świeżo na sali ogrodowej Domu Przemysłowego zwykle swoje zebranie pod przewodnictwem księdza kanonika Adamskiego. Uczestnictwo pań było bardzo liczne. Świadczy ono, że idea niesienia pomocy najbiedniejszym dzieciom przez udział kobiet w opiekuństwie prawnem przenika coraz szersze warstwy społeczeństwa naszego. Po odczytaniu protokółu z ostatniego zebrania zastanawiano się nad środkami, które najskuteczniej doprowadziłyby do chwalebnego celu, jaki sobie rzeczone Towarzystwo wytknęło. W tym względzie szanowne uczestniczki zabierając głos, komunikowały swoje spostrzeżenia i doświadczenia. Okazuje się, że choć sprawowanie opieki prawnej nad dziećmi biednemi połączone jest nieraz z wielkiemi trudnościami, to jednak niepowodzeniem w poszczególnych wypadkach zrażać się nie należy. Stronę prawną wyjaśnił na podstawie tychże wypadków ks. kanonik Adamski i podał do wiadomości, że co tylko wyszła z druku broszura p. t. „Kobieta jako opiekunka prawna“, opracowana przez p. Konstantego Kościńskiego, która zawiera potrzebne w tym przedmiocie dla kobiet-opiekunek informacye. Obecnym na zebraniu był także pan mecenas Sczaniecki z Gniezna, który rozwiódł się nad podobnem do poznańskiego Towarzystwem, które się utworzyło w Gnieźnie. Tamtejsze Towarzystwo wytknęło sobie za cel, aby zorganizować dobrą i skuteczną opiekę nad dziećmi katolickiemi miasta Gniezna. Mecenas p. Sczaniecki zaznacza, że uczuwać się daje potrzeba zorganizowania nie tylko opiekunek, ale także i opiekunów. Celem poparcia tej idei istnieje zamiar wydania odpowiedniego, popularnie opracowanego podręcznika, któryby także i opiekunów o sprawach i obowiązkach objaśnił. Ks. kanonik Adamski uważa taką akcyę za bardzo szczęśliwą i rzuca myśl zorganizowania istniejących i założyć się mających Towarzystw podobnych w ten sposób, aby poznańskie Towarzystwo było centralnem, a inne może jego filiami. Kwestya ta naturalnie wymaga bliższego jeszcze zastanowienia. Towarzystwa opieki nad biednemi dziećmi nie istnieją jeszcze w większych miastach Księstwa, n. p. w Ostrowie, Inowrocławiu, Bydgoszczy. Może te kilka słów pobudzi ludzi dobrej woli do działalności w tym zaniedbanym u nas kierunku.

„Schronienie nauczycielek.“

Sprawozdanie roczne Towarzystwa Schronienia Nauczycielek.

W roku ubiegłym miałyśmy tylko trzy zebrania, ponieważ sprawy Tow. nie wymagały częstszych narad.

Przy końcu roku 1905 książki depozytowe wykazywały kapitał w ilości 21,017 m. 14 fen.

Biuro prowadzone z całem poświęceniem przez p. Annę Przybyłowską przyniosło nam 405 mk.

Nauczycielek umieściła panna Przybyłowska w ubiegłym roku 27.

Dary nadzwyczajne wynosiły 2,558 m.; w tych datkach odebrałyśmy większe sumy: od p. Estkowskiej 1,800 m., od p. Emili Zaleskiej 200 m., za pośrednictwem p. Kusztelanowej 100 marek, z kart kościuszkowskich 100 marek.

Na zapomogi miesięczne wydałyśmy 1009 mrk., z zapomóg korzystało ogółem 9 osób.

Na r. 1906 mamy 10 petentek.

Działalność nasza ogranicza się dotychczas na rozdzieleniu wsparć stałych, lub jednorazowych zapomóg. Wobec bowiem wygórowanych cen domów, trudno nam z naszą małą zaliczką nabyć kamienicę i „Schronienie“ otworzyć.

Stałemi zapomogami uratowałyśmy jednakowoż niejedną nauczycielkę od zupełnej nędzy. Czynności nasze zwiększyłyśmy w tym roku znacznie, w zeszłym roku rozdałyśmy 734 mrk., w roku bieżącym 1153 mk.

Biuro informacyjne przyniosło w bieżącym roku także blizko 100 mrk., więcej, aniżeli lat poprzednich.

Społeczeństwo całe prosimy o popieranie naszych zabiegów ku stworzeniu tej tak potrzebnej i pożytecznej instytucyi.

Zofia Breza, przewodnicząca.
Marya Halina Łebińska, sekretarka.

Łzy.

Łzy to mowa bez słów, lecz wyraźniejsza i zrozumialsza niż słowa. A jak rozmaita, tak rozmaite wyraża uczucia! Począwszy od wilgotnych oczu aż do rozpaczliwego łkania jest tam cała skala płaczu, ciche łzy, spływające po twarzy, wybuchanie głośne płaczem, łzy gorżkie żalu, pokuty, gorące łzy smutku i rozpaczy — a najboleśniejsze są te, które

„nigdy nie cieką, któremi nie płacze
zdrętwiałe oko,
„które wezbrawszy gdzieś pod powieką, napowrót w duszę płyną głęboko!“

Ale spuśćmy zasłonę na te rzewne łzy, które „tylko Bóg zna.“

W naszem życiu ziemskiem, pełnem ruchu i wrzawy, odgrywają łzy radości rzadką wprawdzie, lecz tem piękniejszą rolę. Łzy radości, wdzięczności i szczęścia! Są to kosztowne perły i chwil, w których się temi płakało łzami, nie zapomina się tak prędko!

Skłonność do płaczu bardzo też bywa rozmaitą. U niektórych płyną łzy nieomal na zawołanie — drobna jaka przykrość, gniew lub nawet czytanie jakiejś powieści, w której Numa nie wychodzi za Pompiljusza, i otóż oczy pełne łez gorących! Ludzie płaczliwi mogą się dla otoczenia swego stać bardzo niewygodnymi. Łzy ich nie idą też z serca — pochodzą z zupełnie powierzchownego uczucia i dla tego nie idą do serca.

Nawet i mężczyźni nie są wykluczeni z tej kategoryi płaczek, chociaż przeciętnie mniej płaczą, niż kobiety.

Łzy kobiety cuda nieraz działają! Jest to nieraz potęga, przed którą najpoważniejszy mędrzec ukorzyć się musi — jest to jedna z najostrzejszych broni, jaką się kobieta posługuje.

Ale mężczyzna rozpoznaje często prawdziwe łzy od tak zwanych „judaszowych“ i umie stawić im opór, chociażby z najpiękniejszych płynęły oczu. Kobieta zaś, której zależy na szacunku męża, unika scen i łez niepotrzebnych.

Łzy mają też w podaniach ludowych pewne znaczenie. I tak narzeczona, idąca do ołtarza, powinna dużo płakać, bo to jej szczęście przynosi. Perły oznaczają łzy — narzeczona, mająca w dzień ślubu perły, smutne będzie miała życie, nawet komu się o perłach śni, płacze nazajutrz! W Szwecyi istnieje przesąd, że czyje łzy na trupa spadają, ten wnet umrze — umarli wogóle nie chcą, aby wiele po nich płakano,, bo to zakłóca ich spokój i muszą się raz po raz żywym ukazać.

U nas istnieje przysłowie, że „kto w piątek skacze, ten w niedzielę płacze i odwrotnie.

Empa.

ROZMAITOŚCI.

Napad na więzienie. Z Warszawy donoszą: Świeżo dokonano śmiałego napadu na warszawskie więzienie śledcze, w celu oswobodzenia jednego z więźniów, co się też napastnikom udało. Stało się to w sposób następujący: Kilku uzbrojonych w rewolwery ludzi podeszło do oficyny od ulicy Pawiej, zamieszkałej przez administracyę więzienną. Część tych ludzi oczekiwała na ulicy, 6 zaś, widocznie obeznanych dobrze z rozkładem wewnętrznym lokalów więziennych i widocznie powiadomionych o tem, iż więzien Zalewski wyprowadzany jest w tym czasie na spacer, wtargnęli do korytarza domu, połączonego furtką z podwórzem wewnętrznem więzienia. Furtki tej pilnuje stale jeden strażnik. Nieznajomi, zbliżywszy się do dyżurnego w tym czasie strażnika Pfela zaczęli strzelać z rewolwerów.

Pierwsza kula chybiła celu, drugą Pfel, raniony został w rękę i szyję. Gdy padł, robotnicy zrewidowali mu kieszenie, znaleźli klucz od furtki, otworzyli ją i dostali się na podwórze więzienne, gdzie spacerowali wyprowadzeni na minut parę przedtem dwaj więźniowie. Do przechodzącego wypadkowo w tym czasie przez podwórze strażnika Kniazia nieznajomi dali kilka strzałów. — Kniaź padł martwy, ugodzony kulą w głowę. Następnie napastnicy uprowadzili z sobą jednego z dwóch wyprowadzonych na spacer więźniów, mianowicie Zalewskiego, oskarżonego o zabicie dozorcy rewirowego, poczem tą samą drogą, jaką weszli wydostali się na ulicę i przeszli w wartym tłumie, z rewolwerami w rękach, przez ulicę Pawią do Dzikiej, gdzie rozproszyli się w różne strony. Wszystko to nastąpiło, jak twierdzi „Warsz. Dziewnik" tak szybko, iż strażnik stracił przytomność i zamiast wszcząć alarm, starał się powstrzymać drugiego więźnia, spacerującego z Zalewskim.

* * *

Zamach na most kolejowy. Z Warszawy donoszą: W nocy z soboty na niedzielę kilkunastu ludzi napadło z dwóch stron na most na 120 wiorście odnogi dąbrowskiej kolei nadwiślańskich położony. Wystrzałami rewolwerowemi i bombardowaniem kamieniami spędzono czterech stróżów, most ochraniających. Stróże podążyli na stacyę Zagnańsk i zawiadomili o wszystkiem służbę stacyjną i drogową. Uderzono na alarm na całym dystansie: Zagnańsk-Tumlin. Idący stamtąd pociąg pocztowy zatrzymany został w drodze na 124 wiorście. Pociąg ruszył w drogę z zachowaniem wszelkich ostrożności. Okazało się, iż dokonano podkopu, głębokości około jednego sążnia, i umieszczono tam przyrząd wybuchowy wagi około 3 pudów, oraz 2 sążnie lontu. Jest to już trzeci zamach na ten most dokonany.

* * *

Wstał z trumny. W miasteczku Loyal Wisconsin, w Ameryce, o mało co nie pochowano żywcem farmera James'a Muligan. Gdy karawan ruszył już z trupem na cmentarz, nieboszczyk nagle ożył i wybiwszy szybę w trumnie zaczął krzyczeć. Goście rozbiegli się w przerażeniu na wszystkie strony, wdowa przyskoczyła do trumny i zaczęła cucić męża, który zemdlał.

* * *

Forteca-samochód. Forteca-samochód wykonaną została niedawno w Puteax, w fabryce „Charron, Girardot et Voigt". Jest to mała forteca ruchoma, dobrze opancerzona, opatrzona w wieżyczkę, skąd można dać „w ciągu minuty kilkaset wystrzałów kartaczowych, na 2000 metrów odległości, we wszystkich kierunkach. Pancerz odporny jest na kule karabinu Lebela, z odległości 20 metrów; mechanizm automobilu jest zabezpieczony.

Problemat stworzenia działa, poruszanego siłą mechaniczną, a przytem zupełnie zabezpieczonego, był trudny do rozstrzygnięcia. Działo takie musi być szybkie jak automobil, lekkie i zwrotne, co najmniej, jak zwykłe działo polne, a przytem posiadać silny pancerz.

Model stworzony przez firmę francuską, posiadać ma wszystkie te cechy. Wraz z całem wyekwipowaniem waży tylko 3,000 klg., licząc w to ciężar 5 ludzi; ma zapas siły motorowej na 1,000 kilometrów; zapas amunicyi na cały dzień zaciętej bitwy; szybkość 40 kilometrów na godzinę. Po bokach samochodu umieszczono szerokie szyny, które po opuszczeniu na dół dają możność bezpiecznego przebycia każdego, nawet najgłębszego rowu, oraz wspinania się po pochyłości. Wewnątrz na przodzie znajdują się dwa miejsca: dla oficera i palacza, prowadzącego samochód, z tyłu dla trzech kanonierów do obsługi mitraljezy, której mechanizm mieści się w pośrodku wozu.

Próby, dokonane pod Chalons, doprowadziły do wniosków, że te nowe fortece ruchome muszą oddać w bitwie niezmierne usługi, będąc przytem prawie niemożliwemi do zdobycia, gdyż nad stałemi mają tę wyższość, że w każdej chwili mogą ujść od nieprzyjacela z chyżością pociągu kolejowego.

Jedno takie działo samochodowe weźmie udział w tegorocznych manewrach francuskich, dwa są już, podobno, w drodze do Rosyi.



Humorystyka.

Prima aprilis.

Gdyby to było prawdą, gdyby prawdą było,
Że jest złudzenia jeden tylko dzionek w roku,
Jakżeby się na świecie wtedy dobrze żyło,
Bez trosk i bez kłopotów, bez jednej łzy w oku...

Tymczasem jest inaczej, los nam figle spłata,
Prima aprilis sprawia nam przez całe lata,
Na każdym kroku, wiecznie nas wodzić się sili,
Od początku żywota do ostatniej chwili.

Pamiętam, kiedym jeszcze był bardzo maleńki
I do piersi matczynej chciał przyłożyć usta,
Zamiast pokarmu, *smoczek* mi dano do ręki
I takiem *oszukaństwem* mi tłumiono gusta.

Zamiast konia dostałem konia do zabawy,
Zamiast herbaty: ziółka, lurkę, zamiast kawy,
Później, gdy byłem starszym, (raczej zmilczeć wolę)
Jakie *prima aprilis* nieraz miałem w szkole.

Choć i ja także w kropce znalazłem się godnie,
W chwili krytycznej książkę wsuwając pod . . . . . .
W miłości szczęsnej porze, o! cro zwodnicza!
Całowałem zazwyczaj róż tylko — nie lica.

Lub, wyzyskawszy chwile, gdy nie było taty
I mamy, przyciskałem jej pełny biust — z waty,
Gdy sądziłem, że wezmę za nich złota Tagu,
Prima aprilis — guzik dostałem z posagu.

O i na cóż mi tutaj próżno trwonić słowa,
By opisać, jak mię wiecznie tumani teściowa.
Los — któż na tym padole odgadnie przyczynę?
Zamiast chłopca już czwartą mi daje dziewczynę.

A tam w górze, choć miewam jak najlepsze szanse,
Ciągły *prima aprilis* robi mi awanse.
Prima aprilis ściga nas na każdym kroku,
Prima aprilis solą w oku, kolką w boku.

Prima aprilis naszym jest powszednim chlebem,
Los zły gotów nam jeszcze urządzić go z niebem.



Z Pacanowa.

W Pacanowie, zmarł nagle przed karczmą nikomu nie znany w tej okolicy włóczęga, a sąd nakazał chirurgowi miejskiemu przeprowadzić obdukcyę zwłok nieznajomego denata.

Chirurg miejski przeprowadził obdukcyę wobec burmistrza i spisał następujący protokół

„Przy sekcyi zwłok nieznajomego, ani nazwiska jego, ani religii ni wieku, ni zatrudnienia, ni mieszkania nieboszczyka, sprawdzić nie zdołałem.‟



Z albumów panieńskich.

Przy talerzach łyżki, przy nożach widelce,
Nie zapomnij Kiziu o twojej
Adelce.

* * *

Prędzej się doczekasz wnuka,
Lub białego ujrzysz kruka,
Nim cię ma miłość oszuka
Kochająca na wyrywki i po kolei
Wanda.

* * *

Siedm razy ośm jest sześćdziesiąt cztery —
Przyjmij Zosiu droga ten mój wierszyk szczery,
Choćbym miała robić przez pięć lat rachunki
Zawsze miłe z tobą utrzymam stosunki!
Maryla.

* * *

Gdybym była ptaszkiem, albo też kanarkiem,
Tobym cię uczciła wspaniałym podarkiem,
Że zaś jestem tylko ubogą panienką
Zaśpiewam ci szczerze, chociaż trochę cienko:

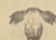
„Czy w zimie, czy w lecie
Zawsze kocham Tecię‟.
Andzia.

* * *

Upłyną lata, upłyną
Dnie i godziny przeminą
A przyjaźń nasza wiecznie ta sama zostanie,
Jak na pensyi mleko z bułką na śniadanie!
Felicya.

* * *

Czy na obiad rosół,
Czy pomidorowa,
Moje serce dla cię
Zawsze wierność chowa;
Nie wydrze jej nigdy
Żaden mały djabłek
Choćby miód mi dawał,
Lub szarlotkę z jabłek!...
Do grobu kochająca cię i jak Sfinks wierna
Frania.



Takich niewielu.

Iks z Ygrekiem raz w handelku,
Pijąc wino w kącie sali,
O doczesnem naszem życiu
I stagnacyi rozprawiali.
— Tak to, radzco, mówił Ygrek —
Na jesieni, w zimie, w lecie,
Ciągle czegoś nam brakuje,
Ciągle źle nam jest na świecie!...
Oj, tak! radzco — Iks mu na to —
I przychodzi myśl w tej chwili,
Że najlepiej dla tych chyba,
Co się wcale nie rodzili!...
— Naturalnie!... rzecze Ygrek —
Tym najlepiej jest, mój Boże,
Ale wieluż ich w Poznaniu?
Trzech — najwyżej czterech może...



Jaś.

— Teraz więc, Jasiu, będziesz już wiedział, dla czego bociany odlatują na zimę do ciepłych krajów?...

— Będę wiedział, mamusiu.

— No, dla czego?

— Bo i ludzie w ciepłych krajach chcą mieć także dzieci.

